

# Edmund Mazur

---

## Po prostu człowiek : (materiały dotyczące pomocy niesionej Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej w Warszawie)

---

Palestra 12/11(131), 65-104

---

1968

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

gały obszernego i gruntownego przestudiowania. Pociuszające jest, że nad tymi zagadnieniami dyskutuje się i to w sposób poważny. Ułatwi to niewątpliwie pracę Komisji i Plenum NRA.

Zapewne w przyszłym roku dojdzie do uchwalenia poprawek i dzięki temu Zbiór zasad zyska bardzo na swej przydatności.

EDMUND MAZUR

## Po prostu człowiek

### (Materiały dotyczące pomocy niesionej Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej w Warszawie)

Okres ostatniej wojny był dla wielu narodów, ludzi i środowisk okresem próby, jakże często okrutnej i okupionej ceną najwyższą — życiem. I choć dla tych, co przeżyli, życie jest najwyższą ceną, ci, co zginęli, często inaczej je oceniali, widząc we własnym unicestwieniu wybawienie, kres mąk fizycznych i psychicznych, upokorzeń i poniżenia. Nie ma pióra, które by mogło oddać pełnię przeżyć tych ludzi, nie ma autora, który by mógł zrozumieć psychologiczną warstwę tej ludzkiej tragedii. Ci, co przeżyli, powinni tym, co odeszli, dać dowód prawdy; ku ich pamięci a przestrodze i nauce pokoleń następnych.

Polacy przechodzili ten okres próby w szczególnie tragicznych okolicznościach. Pierwsi padliśmy ofiarą rozpętanej przez hitleryzm wojny, doświadczyliśmy wszystkich rasistowskich teorii zbrodniczego systemu faszystowskiego, u nas i na nas sprawdzonych w praktyce. Między innymi, na skalę nigdzie dotychczas niespotykaną, byliśmy świadkami i ofiarami zbrodniczej eksterminacji ludzi, określonych przez ustawy norymberskie jako ludzie pochodzenia żydowskiego. Ta nieludzka teoria rasowa, nazwana przez kogoś hańbą XX wieku, była realizowana na żywym organizmie narodu polskiego, pokonanego w nierównej walce militarnej, ale nie pokonanego moralnie, prowadzącego walkę aż do jej zwycięskiego finału.

W walce tej nie zabrakło polskiej adwokatury. Prężna, patriotyczna, prawidłowo oceniająca niebezpieczeństwo hitleryzmu, od pierwszych dni tragicznego września 1939 roku stanęła do walki o niepodległość Polski, o godność człowieka, o godność narodową. I choć różne wtedy widziano wizje tej Niepodległej, czynnikiem łączącym była walka ze znieawidzonym barbarzyńcą hitlerowskim.

Adwokatura, jako część narodu polskiego, razem z nim podlegała wszelkim przemianom i orientacjom ideologicznym, mającym swoje odbicie w formach organizacji konspiracyjnych militarnych i paramilitarnych. Jej członków można spotkać we wszystkich formacjach ruchu oporu, we wszystkich ugrupowaniach

politycznych, wszędzie tam, gdzie toczy się walka o prawo do istnienia narodu w sensie politycznym i biologicznym. Spotykamy więc adwokatów w wojsku polskim za granicą: na wschodzie i zachodzie, w formacjach partyzanckich Armii Krajowej, Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich i w wielu innych istniejących tam oni rolę niepoślednią, a często wybitną. Ter. ważny wycinek zachowania się adwokatury w okresie okupacji jest zupełnie nie opracowany i czeka na swego odkrywcę i autora. Okres 25 lat, jaki minął od czasu powstania Polski Ludowej, daje dostateczny dystans historyczny, umożliwiając podjęcie poważnych badań i gromadzenie materiałów w tej dziedzinie.

Niniejsze opracowanie ma skromniejsze ramy i choć wchodzi do okupacyjnej epopei polskiej adwokatury, jego zakres przedmiotowy i podmiotowy jest węższy, stanowi zaledwie wycinek tej tematyki. Przedmiotem jego jest mianowicie pomoc udzielana przez adwokatów lub ich rodziny osobom pochodzenia żydowskiego, a podmiotem — po prostu człowiek. Pamiętajmy, że jedyną karą hitlerowską za pomoc udzielaną osobom pochodzenia żydowskiego była kara śmierci.

Pomoc ta była różna: materialna, moralna, a najczęściej wiązana, niewymierzalna. Była udzielona przez adwokatów lub ich rodziny adwokatom lub ich rodzinom, ale też nie była związana zupełnie z zawodem adwokackim. Dotyczyła osób znanych osobiście lub ze słyszenia, ale również osób zupełnie nieznanymi. Była udzielona przez ludzi starych i młodych, a korzystali z niej również ludzie starzy, młodzi i dzieci. Pod względem wieku, wykształcenia, stopnia znajomości, obywatelstwa, przekonań i przynależności politycznej przed wojną i w czasie okupacji nie sposób przeprowadzić tu jakiegokolwiek klasyfikacji, bo każdy wypadek jest tak indywidualny i specyficzny, że wymyka się wszelkim sztywnym normom segregacyjnym.

Rodzaje tej pomocy są już bardziej uchwytnie i wymierne. Spotykamy tu pomoc żywnościową i tym podobną, pomoc przy uzyskaniu potrzebnych dokumentów osobistych, ukrywanie i przechowywanie dzieci i osób dorosłych, pomoc w uzyskiwaniu dochodów i pożytków, przechowywanie i spieniężanie rzeczy, wreszcie utrzymywanie kontaktów towarzyskich, przekazywanie wiadomości oraz faktów pozwalających na podtrzymanie woli oporu i przetrwania.

Co do form tej pomocy, możemy wyróżnić formy zorganizowane i indywidualne, często na zasadzie ludzkiego odruchu.

Uzyskanie danych z omawianego okresu nie jest rzeczą prostą, a to z dwóch powodów: wiele osób kierując się delikatnością i skromnością, po prostu nie chce ujawniać tych faktów lub też ujawniając je, zastrzega sobie anonimowość lub formułuje zakaz publikacji. Najtrafniej ujął to jeden z kolegów, który opisując fakt swej działalności w omawianej dziedzinie, tak zakończył swój list: „Ponieważ w działalności tej nie było żadnego bohaterstwa (...), nie życzę sobie ujawniania mego nazwiska”.

Z drugiej strony wiele osób objętych tą pomocą, z różnych względów, nie zawsze jasnych obiektywnie, ale subiektywnie zasługujących na zrozumienie, nie ujawnia tych faktów z reguły o wielkim ładunku dramatycznym, ciągle żywym i przeżywanym.

Przy całym szacunku i zrozumieniu tych wszystkich hamulców i oporów moralno-etycznych, czas już przystąpić do gromadzenia materiałów i opracowywania historii adwokatury w okresie ostatniej wojny światowej. Jest to tym

bardziej konieczne dlatego, że należy dać świadectwo prawdzie i odeprzeć opinie ośrodków neohitlerowskich i szowinistycznych o rzekomym antysemityzmie polskim.

Powyższe motywy wpłynęły na to, że na Zgromadzeniu Delegatów Warszawskiej Izby Adwokackiej dnia 7.IV.1968 r., na wniosek Komitetu Frontu Jedności Narodu przy warszawskiej Radzie Adwokackiej, jednogłośnie uchwalono:

„Zlecić Radzie Adwokackiej w Warszawie bezzwłocznie zgromadzić i opublikować materiały dotyczące pomocy niesionej w okresie okupacji adwokatom pochodzenia żydowskiego przez organa adwokatury<sup>1</sup> i poszczególnych adwokatów, ze szczególnym uwzględnieniem poniesionych w związku z tym ofiar.”

W wykonaniu tej uchwały Prezydium Warszawskiej Rady Adwokackiej postanowiło dnia 23 maja 1968 r. rozesać wszystkim adwokatom-członkom Izby odpowiednio pismo wzywające do podawania znanych faktów do Rady. Napłynęło kilkadziesiąt odpowiedzi; część z nich została już opublikowana z pewnymi skrótami<sup>2</sup>, część — wobec wyraźnego zakazu zainteresowanych — może być wykorzystana tylko do opracowań analitycznych i zbiorczych. W niniejszym opracowaniu uwzględniam wiadomości zarówno już publikowane, jak i uzupełnione w rozmowach osobistych przeprowadzonych bezpośrednio lub telefonicznie.<sup>2a</sup> Zdaję sobie sprawę, że jest to zaledwie znikoma część tych wiadomości, przypadkowo dobranych. Trzeba jednak od czegoś zacząć i w trakcie pracy ulepszać metodę. Innej drogi nie widzę. Z góry przepraszam autorów wiadomości za formę opracowania i skróty ich wypowiedzi i proszę Szanownych Czytelników, by wszelkie uwagi, uzupełnienia, sprostowania oraz nowe materiały nadsyłali do redakcji „Palestry”, Naczelnej Rady Adwokackiej lub właściwych rad adwokackich.

Przy opracowaniu przyjąłem podział na działalność zorganizowaną i indywidualną. Jest to podział umowny, nie zawsze adekwatny do przedstawionych treści. Będę więc wielce zobowiązany za uwagi i propozycje w tym zakresie.

## I. Działalność zorganizowana

Zorganizowana pomoc uzyskała najpełniejszą formę w powołaniu przez działaczy politycznych ruchu oporu w roku 1942 Rady Pomocy Żydom „Zegota”. Współorganizatorem, a następnie wiceprezesem na kraj był adwokat Tadeusz Reka. Rada powołała do życia oddziały w Krakowie i Lwowie, a w wielu miastach miała swych stałych delegatów.<sup>3</sup>

Wydaje mi się, że szczególną formą działania społecznego była pomoc

<sup>1</sup> Problematykę stosunku organów adwokatury do kwestii żydowskiej w okresie okupacji omawia w niniejszym numerze „Palestry” adw. Witold Bayer, str. 41—43.

<sup>2</sup> Patrz artykuł: Obywatelska służba ocalenia, „Gazeta Sądowa i Penitencjarna” z 1.IX.1968 r. nr 17/118, str. 5 i 6. (M. Maślanko, J. Kupiec, J. W., M. Piesiewicz, A. Grębecka, H.W., K. Bieńkowski, J. Lewiński, M. Węgrzynowski, J. Pałatyński, S. Gawron, J. Grębecki, L. Antecki, M. Perzyński, S. Laskowski, G. Talikowski, K. Pędowski, A. Makowska).

<sup>2a</sup> Dla zachowania autentyzmu, uwzględniam w tych wiadomościach język oryginału.

<sup>3</sup> Bliższe dane na temat form organizacyjnych i zakresu działania Rady oraz roli adw. Tadeusza Reka (niedawno zmarłego sędziego Sądu Najwyższego), można znaleźć m.innymi w artykule Marka Arczyńskiego: Rada Pomocy Żydom, „Za Wolność i Lud” z 1963 r. nr 8/197.

udzielana dzieciom. W tej mierze adwokat Stanisław Laskowski z Warszawy nadesłał nam interesujący fragment:

(...) W czasie wysiedlania ludności polskiej z Zamojszczyzny w latach 1942/1943 przyjechał do mnie tamtejszy działacz ludowy Józef Wójcik alarmując, że przez Warszawę będą przejeżdżać transporty dzieci z Zamojszczyzny i że istnieje możliwość zarówno wywiezienia części dzieci z zagrożonych terenów, jak również uratowania z transportów kolejowych. Działając wówczas w Batalionach Chłopskich oraz w Delegaturze Rządu, skontaktowałem Józefa Wójcika z odpowiednimi działaczami Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) oraz działaczami ludowymi w Warszawie, którzy czynnie włączyli się do pracy na dworcach i punktach RGO.

W związku z powyższą akcją kol. Józef Wójcik przez dłuższy czas przebywał w Warszawie i pod Warszawą, korzystając między innymi z gościny w domu moich Rodziców we Wsi Wyczołki (obecnie m. Warszawa).

Wiadomo mi, że wśród uratowanych wówczas dzieci była grupa dzieci żydowskich.

Pragnę podkreślić, że nie czyniliśmy żadnej różnicy rasowej, ratując dzieci przed zagładą.

Wspomniany wyżej Józef Wójcik tak opisuje tę działalność:

(...) 20 lat temu hitlerowcy wysiedlili z 297 gromad Zamojszczyzny około 110 tys. osób, w tym 30 tys. dzieci. Dzieci odbierano rodzicom i w zamkniętych i zimnych wagonach wywożono do Niemiec na wynarodowienie.

W porozumieniu z Oddziałem RGO w Zamościu — z ramienia BCh utworzyłem komitet ratowania zagrożonych dzieci.

Dzieci grupami wywoziliśmy do Warszawy. Dzięki mecenasowi St. Laskowskiemu i innym działaczom ludowym w konspiracji umieszczaliśmy przywiezione dzieci w schroniskach RGO przy ul. Ogrodowej i Okopowej. Nasi działacze w Warszawie oczekiwali na dworcach na przyjeżdżające dzieci. Mieszkańcy Warszawy a także mieszkańcy Mrozów, gdzie zatrzymywały się pociągi wiozące dzieci, zabierali je do swoich domów. (...)

Wśród dzieci, które zawoziliśmy do Warszawy, były też dzieci narodowości żydowskiej.

Adwokat Władysław Grzankowski ma zapisaną piękną kartę działalności w okresie okupacji i wiele osób pochodzenia żydowskiego zawdzięcza mu życie, nawet o tym nie wiedząc. W okresie okupacji pełnił on wiele odpowiedzialnych funkcji społecznych i organizacyjnych, które wykorzystywał i ukierunkowywał między innymi w celu niesienia pomocy prześladowanym. Jako Prezes PCK oddziału warszawskiego, Prezes Ochotniczych Straży Pożarnych na m.st. Warszawę, a podczas powstania Komendant Straży Obywatelskiej działał systematycznie i permanentnie. Oto jak Tadeusz Bednarczyk opisuje tę działalność:<sup>5</sup>

<sup>4</sup> Frzedruk z „Dziennika Ludowego” nr 50 (589) z dnia 10.III.1952 r. (tytuł artykułu Jak ratowano dzieci Zamojszczyzny przed zniszczeniem?).

<sup>5</sup> Patrz artykuł: Strażacka akcja pomocy Żydom, „Prawo i Życie” nr 8 (260) z dnia 10.IV.1966 r., str. 4 i 7. Artykuł zamieszcza fotografię adw. Grzankowskiego z podpisem: „Dr Władysław Grzankowski, organizator konspiracyjnego schroniska dla bohaterów Westerplatte, wybitny działacz akcji pomocy Żydom”.

(...) Formy pomocy polskiej dla Żydów były rozliczne, samorzutne i zorganizowane. Od 20 października 1942 rozpoczęła już zorganizowaną działalność Ogólnopolska Rada Pomocy Żydom „Żegota”, której jednym z czołowych przedstawicieli był znany historyk okupacji hitlerowskiej w Warszawie — Władysław Bartoszewski. O wielkich wynikach tej akcji świadczą m.in. te setki listów i podziękowań uratowanych Żydów, które były drukowane przez wiele miesięcy na łamach „Tygodnika Powszechnego”. O solidarności Polaków i Żydów jakże pięknie pisze również prof. Ludwik Hirschfeld w swojej autobiografii. Wspaniałe karty bohaterstwa przy ratowaniu Żydów i pomaganiu Żydom zapisała zarówno Gwardia Ludowa (Franciszek Łęczycki), jak i Armia Krajowa (Zbigniew Lewandowski — „Szyma”). Ileż jednak faktów pozostaje dotychczas nieznanymi. Iluż Polaków przypłaciło życiem ukrywanie Żydów. Iluż traktuje to do dziś jako zwykły ludzki obowiązek, nie pretendując ani do wzmianek w historii, ani do odznaczeń.

Jedną z takich mniej znanych kart z okupacyjnej akcji pomocy Żydom jest działalność Straży Pożarnej w Warszawie. (...)

Prezesem Ochotniczych Straży Pożarnych w Warszawie i zarazem prezesem Oddziału Czerniakowskiego był adwokat dr Władysław Grzankowski (ps. mjr Prus), oficer dyspozycyjny Komendy Głównej „Skały-KB”, a zarazem prezes PCK Oddziału Warszawa-Południe.

Mecenas Grzankowski przy pomocy Oddziału Czerniakowskiego świadczył gettu pomoc żywnościową i finansową poprzez ŻZW, dowoził samochodem granaty produkowane w szkole oficerskiej na ul. Słowackiego. Ze źródeł PCK dostarczał do getta lekarstwa, odżywki dla dzieci, środki opatrunkowe. W końcu 1941 r. i w 1942 r., w ramach koordynowanej przeze mnie akcji ewakuacji z getta inteligencji żydowskiej (przeprowadzanej przez ŻZW), szereg Żydów zostało przyjętych na czynnych strażaków w Oddziałach Straży Ochotniczej, oczywiście na fałszywych papierach. Wyrabianie fałszywych metryk i dokumentów mec. Grzankowski m.in. załatwiał poprzez ks. bp. Choromańskiego (parafia św. Aleksandra) i ks. prob. Wojewódzkiego (parafia św. Barbary), którzy wystawiali akty urodzenia. Wielu Żydów dostało ponadto dokumenty członków Straży Ochotniczej bez potrzeby pokazywania się w Oddziałach. Dokumenty strażackie były szczególnie cenne, gdyż jako wystawiane przez policję niemiecką, gwarantowały duże bezpieczeństwo. Osobną historią było zdobywanie u Niemców setek legitymacji dla tych martwych dusz, rozdymających fikcyjnie stany Oddziałów Straży. Zdobywano je przekupując Niemców. Żydzi z takimi papierami przetrucani byli przez Oddział Wawrzyszew do Puszczy Kampinowskiej, zaś przez Oddział Czerniakowski przez Powsin na teren wiejski. Np. konspiracyjny prezes Ochotniczych Straży Pożarnych na całą Polskę Bolesław Chomicz, ps. Dziadek I (także prezes KKO powiatu warszawskiego) też ukrywał Żydów pod Warszawą na terenie swojego majątku w Dąbrówce.

Opiekę nad Żydami ukrywającymi się na terenie Oddziału Czerniakowskiego mec. Grzankowski powierzył por. straży Stanisławowi Briesemeistrowi i ppor. Doliwie-Słedzińskiemu (adwokat), zaś w Oddziale na Saskiej Kępie prezesowi tego Oddziału Aleksandrowi Junosza-Olszakowskiemu (literat).

Oprócz wspomnianej akcji pomocy wyłącznie strażackiej mec. Grzankowski świadczył pomoc Żydom w kooperacji z PCK i ułatwiał zatrudnianie Żydówek jako sanitariuszek. Mianowicie w wojskowym szpitalu Ujazdowskim na oddziale

gruźliczym i w konspiracyjnym schronisku żołnierzy inwalidów z Westerplatte (przy ul. Górskiej) zatrudniano sanitariuszki-Żydówki na legitymacjach PCK. Nad ich bezpieczeństwem czuwała Loda Halama. Straż Ochotnicza dostawała do rozdziału wśród Żydów stałe zapomogi finansowe od wielu polskich firm, podobnie PCK czy RGO; szczególnie trzeba tu podkreślić ofiarność firmy Fraget.

Także w czasie powstania w getcie w roku 1943 Oddział Czerniakowski Straży Pożarnej świadczył pomoc ludności żydowskiej. Biorąc pod dowództwem por. Barcikowskiego udział w akcji ochrony przeciwpożarowej niektórych obiektów, strażacy wyprowadzali Żydów z getta przez gmach Sądów na Lesznie oraz przez Kościół NMP. Kilkunastu z nich przekazano następnie do bezpiecznych schronień pod Warszawą.

Przedstawiona akcja pomocy Żydom ze strony Straży Pożarnych i jednostek OW-KB „Skała” jest tylko fragmentem samorządnej i zorganizowanej rozległej akcji, którą ludność polska, nie bacząc na ryzyko śmierci, rozwijała przy wszelkiej okazji, aby nieść pomoc i ratunek prześladowanym i mordowanym nieludzką przez hitlerowców Żydom.

Wymieniony wyżej autor w innym piśmie omawia te same fakty, dodając jeszcze <sup>6</sup>

(...) Dość niecodziennym szczegółem jest wywiezienie kilku Żydów i Żydówek do północnych Włoch przez zapisanie ich przez mec. Grzankowskiego na robotników w Bauindustrie, firmie pracującej dla dyrekcji kolei, gdzie pracowali też polscy inżynierowie. Z Włoch Żydzi ci uciekli do Szwajcarii.

W czasie powstania w getcie poza (...) dwoma oddziałami zawodowymi brały udział i inne, a więc Ochotniczy Oddział Czerniakowski pod k-ndą por. Barcikowskiego, który w rejonie Sądów i kościoła NMP uratował kilku Żydów i wyprowadził z getta, dalej zawodowy oddział z ul. Polnej z mjr. A. Pietraszkiewiczem i oddział z Pragi z płk Makowskim, oddział z ratusza z kpt. Henrykiem Empacherem.

\*Z powodu pożarów Niemcy ściągnęli do getta z wybuchem powstania kilka oddziałów straży ogniowej. Dnia 19.IV.43 r. przyjechał do getta samochodem osobowym przedstawiciel komendy warszawskiej Straży Ogniowej płk Kalinowski i wraz z nim k-nt Straży Ochotniczej mjr „Prus” — mec. dr Władysław Grzankowski. Grzankowski przybył na prośbę ks. arcybiskupa Szlagowskiego dla zabezpieczenia przed pożarem kościoła NMP na ul. Leszno, jak i fabryki Pfeiffrow oraz dla zorientowania się w sytuacji i możliwości udzielenia Żydom pomocy. Przy gmachu sądów spotkali oni niemiecki wóz głośnikowy, emitujący ładne melodie i namawiający Żydów do wyjazdu do obozów pracy w Trawnikach i Poniatowie, a przy nim stał mocno pijany płk SS. Zwrócili się oni do niego o pozwolenie wzięcia jednego wozu strażackiego z oddziału z ratusza dla ratowania kościoła. SS-man zezwolił zabrać motopompę. Przy sądach stał także oddział Ochotniczej Straży z Czerniakowa z ul. Morszyńskiej pod d-dztwem Barcikowskiego. Obydwa oddziały pomogły wtedy uratować się wielu Żydom. Kpt. Empacher w sposób niezwykle ryzykancki obracając czterokrotnie samochodem od kościoła NMP do ratusza, przewiózł wewnątrz wozu strażackiego w ciągu blisko 1 godziny około 50 Żydów ukrywających się w podziemiach kościoła. Złapał go na tym żołnierz niemiecki, który dał się przekupić złotym zegarkiem i 3 litrami wódki.

<sup>6</sup> Patrz artykuł: Jak warszawscy strażacy ratowali Żydów, „Kronika” nr 9 (272) z dnia 2.III.1968 r., Londyn.

Innymi przykładami już nie tylko pomocy, ale i współpracy wojskowej strażaków członków OW-KB z bojowcami żydowskimi może być działalność w następnych dniach m.in. szkoły podchorążych z ul. Słowackiego. Oddziały te specjalnie przystępowały do gaszenia tych domów, gdzie było zarzewie jakiejś walki czy zamieszania. Przy gaszeniu pożarów strażacy pomagali uciekać bojowcom żydowskim bądź otwierali im drogę do niespodziewanego wypadu. Szczególnie trzeba podkreślić postawę, odwagę i poświęcenie młodzieży strażackiej ze szkoły oficerskiej. Posiadany z sobą kilofami, oskardami i toporami nie tylko torowali bojowcom żydowskim przejścia z domów do domów, przejścia głównie strychami, ale wspólnie z młodzieżą żydowską robili przejścia podziemne. Głównie zajęto się naprawą włazów kanałowych (klamry, pokrywy), odgruzowaniem i przetrasowaniem przejść kanałami jako najbezpieczniejszymi wśród płomieni i nie odwiedzanymi przez tchórzliwych Niemców z SS i policji, wyspecjalizowanych tylko w „bohaterskich” walkach ze starcami, kobietami, dziećmi, Żydami i bezbronnymi. Dzięki strażakom-podchorążym kanały nabrały większego znaczenia w walkach w getcie. Wskutek tego rozwoju wypadków Niemcy wycofali te oddziały z getta i wycofali w ogóle strażaków z linii bezpośredniego styku bojowego, a nawet sprowadzili do W-wy własną straż niemiecką.

Adwokat Marian Piesiewicz z Warszawy działał w okresie okupacji na terenie Podlasia. Oto jego relacja:

(...) Już na wiosnę 1942 roku — na podstawie informacji prasy konspiracyjnej, obserwacji i tych wiadomości, które otrzymywaliśmy o bestialskich zarządzeniach okupanta — doszliśmy na Podlasiu do przekonania, że hitlerowcy przygotowują się wczesnym latem 1942 roku do eksterminacji Żydów. Uważałem za swój obowiązek, jako Prezes Okręgu Podlaskiego PCK, przekazać naszym zaufanym, posiadającym znaczenie i autorytet współpracownikom konieczność opieki moralnej, materialnej i leczniczej nad Żydami. Wychodziliśmy z założenia, że udzielanie pomocy ukrywającym się Żydom płynąć powinno z zasad humanitaryzmu. (...)

Pokrywało się to z ideologią tych organizacji konspiracyjnych, z którymi utrzymywaliśmy kontakty na odcinku pomocy społecznej. Uważałem za swój obowiązek mieć kontakt z tymi kolegami adwokatami Żydami, przebywającymi w getcie siedleckim (adw. Józef Landau i adw. Natan Rubinstain), aby przekonać ich o konieczności podówczas przedsięwzięcia czynności umożliwiających ucieczkę z getta i udzielenie im pomocy w wynalezieniu właściwej i pewnej kryjówki. Pomoc ta mogłaby mieć realne, korzystne wyniki. Niestety uważali oni akcję za przedwczesną, a możliwości eksterminacji za nierealne. (...)

W okresie bestialskiej eksterminacji getta warszawskiego dowiedziałem się od mego kolegi szkolnego, adw. Henryka Paszkowskiego, że również nasz kolega szkolny adw. Mardko Goldfarb, były aplikant adw. Stanisława Szurleja, prosi z getta warszawskiego o pomoc. Postanowiliśmy dopomóc koledze Goldfarbowi, byliśmy związani z nim nie tylko wielką przyjaźnią „z czasów sztubackich”, ale ceniliśmy go bardzo jako prawnika i człowieka. Przygotowaliśmy dla kolegi Goldfarba i jego najbliższych odpowiednie warunki ukrycia. Czekaliśmy niecierpliwie na dalsze wiadomości było to jednak bezskuteczne. Dla nie znanych mi przyczyn wiadomości nie nadeszły, nasza przygotowana pomoc nie mogła być zrealizowana. Kolega adwokat M. Goldfarb najprawdopodobniej padł ofiarą hitlerowskiej eksterminacji. (...)



*Kontakt i pomoc udzielona adwokatowi Stanisławowi Muszyńskiemu, jego żonie i teściowej (b. aplikant adwokacki w Białej Podlaskiej) okazała się skuteczna. Nie przypisuję sobie wyłącznej zasługi w uratowaniu tych ludzi, ale wydaje mi się, że należałem do jednych z tych, którzy dopomogli koledze Muszyńskiemu i jego rodzinie przetrwać okres rozszalałego bestialstwa hitlerowskiego. Kolega Stanisław Muszyński dawał mi niejednokrotnie — tak będąc w Polsce do 1947 roku, jak i później z Ameryki — dowody swojej sympatii, wdzięczności i wielkiego przywiązania.*

Ten sam temat, ale od strony udziału adw. M. Piesiewicza w ramach działalności PCK, relacjonuje organ PCK:<sup>7</sup>

*P. mec. Marian Piesiewicz w latach 1928—1932 był sekretarzem Zarządu Okręgu Podlaskiego PCK, a w latach 1932—1943 prezesem Zarządu tego Okręgu. W latach 1943—45 pełnił obowiązki dyrektora biura Zarządu Głównego PCK. Relacje, jakie uzyskaliśmy od tego długoletniego działacza PCK, zwłaszcza jeśli chodzi o okres okupacji hitlerowskiej i akcje pomocy Żydom, ofiarom hitlerowskiego obozu zagłady w Treblince, są najzupełniej nie znane szerszemu ogółowi. (...)*

*Podobnie jak w całym kraju, również i na naszym terenie okupant hitlerowski znacznie ograniczył działalność Polskiego Czerwonego Krzyża, kontrolując wszystko, co robiliśmy. Dlatego działalność humanitarna na rzecz potrzebujących, a było ich przecież w owych czasach ogromnie dużo, ze względów formalnych nie mogła być prowadzona przez PCK jako instytucję. Do najbardziej poszkodowanych w tym okresie trzeba zaliczyć przede wszystkim ludność pochodzenia żydowskiego, która ze względów rasowych została przez hitlerowców skazana na zagładę.*

*W powiecie Sokołów Podlaski w miejscowości Treblinka został wybudowany olbrzymi obóz, prawdziwa fabryka śmierci, wyposażona w komory gazowe, w których wymordowano przez okres istnienia obozu prawie milion Żydów. Obóz ten był bardzo silnie strzeżony, nikt więc stamtąd nie mógł się wydostać. Natomiast zdarzały się ucieczki z transportów kierowanych do Treblinki. Uciekali zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Uciekinierom takim trzeba było nieść pomoc doraźną, zapewnić im schronienie, otoczyć opieką. Polski Czerwony Krzyż nie mógł jako instytucja udzielać pomocy tym kategoriom nieszczęśliwych, tym bardziej, że za pomoc okazaną Żydowi, nawet gdyby to była szklanka wody czy kromka chleba, była przewidziana tylko jedna kara — kara śmierci. Mimo to nikt z tych, którzy uciekali przed zagładą, nie był pozbawiony pomocy. Korzystali z niej przede wszystkim Żydzi, którym udało się uciec z getta żydowskiego w Siedlcach. Korzystali również ci, którzy zdołali uciec z transportów kierowanych do Treblinki. My, miejscowi działacze PCK, mając kontakty ze społeczeństwem, mogliśmy tej akcji nadawać pewne formy organizacyjne, mogliśmy również ją wspierać środkami materialnymi, zwłaszcza w żywności i lekach. Ale nasze zabiegi nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby nie ogromna, powszechna ofiarność miejscowego społeczeństwa, które do głębi było wstrząśnięte zbrodniami masowego ludobójstwa w Treblince. Ukrywającym się Żydom zapewniano pomoc doraźną, a później dawano im stałe schronienie. Bardzo wielką pomoc okazywała ludność wsi okolicznych. Przykładowo wymienię tu wieś Krzymosze pod Siedlcami, gdzie u miejscowych gospodarzy przebywało kilkunastu Żydów. W Siedlcach u miejscowego rzeźnika p. Święckiego przechowywało się 7 Żydów. Niestety, nie*

<sup>7</sup> Patrz artykuł: Pomoc ginącym, „Zdrowie” nr 233 z maja 1968 r., str. 8.

była to akcja bez ofiar. Zdarzały się wypadki, że hitlerowcy po wykryciu ukrywających się Żydów palili gospodarstwa wiejskie, a ich właściciele zabijali na miejscu. Na szczęście wypadków takich nie było wiele.

Ze względów zrozumiałych nie mogliśmy prowadzić żadnych tego rodzaju ewidencji i statystyk, ale sądzę, że ilość osób pochodzenia żydowskiego, która dzięki pomocy okazywanej im przez działaczy PCK i ze strony miejscowego społeczeństwa zdołała przetrwać najgorsze i uratować życie, można ocenić na tysiąc lub więcej nawet wypadków. Uczucia humanitarne względem tych, którzy cierpią i są skazani na zagładę, były silniejsze niż obawa przed własną śmiercią i myślę, że to zjawisko zasługuje przede wszystkim na podkreślenie. Poczucie takiego humanitaryzmu wszczepiał społeczeństwu swoją działalnością zarówno w okresie międzywojennym, jak i w czasie okupacji hitlerowskiej Polski Czerwony Krzyż.

Specyficzną i zupełnie nie znaną kartą jest działalność adw. Krzysztofa Bieńkowskiego. Podaję fragmenty ze zbioru wspomnień:

Gdzieś w drugiej połowie 1943 r. Centrala Komisji Pomocy Uchodźcom Polskim zaproponowała mi, abym stanowisko Kierownika Ośrodka w Slatina-Old zmienił na stanowisko kierownika Ośrodka w Bukareszcie. Był to Ośrodek największy, reprezentatywny i zarazem najtrudniejszy.

Swój „awans” (moralny, nie materialny) na to kluczowe stanowisko zawdzięczałem prawdopodobnie umiejętności rozwiązania trudności narodowościowych w Slatinie. Uchodźcy pochodzenia żydowskiego stanowili tu ponad 70% obywateli polskich. (...)

Pewnego razu przyłapałem podanie do władz rumuńskich, na którym zbierano podpisy, aby z uchodźców pochodzenia żydowskiego utworzyć odrębny, samodzielny ośrodek. Podanie uzasadniono m. in. tym, że Żydzi rzekomo majoryzują Polaków.

Zareagowałem natychmiast bardzo ostro. Wezwałem do siebie inicjatorów tej akcji. Oświadczyłem, że nigdy nie pozwolę na to, aby wzywano obce władze do ingerencji w wewnętrzne sprawy uchodźców, że gwarancją bezpieczeństwa obywateli pochodzenia żydowskiego jest właśnie to, że w urzędowych spisach i dokumentach rumuńskich figurują jako Polacy i że nikt dotychczas nie czynił tu jakichkolwiek rozróżnień. Stworzenie odrębnych list żydowskich i odrębnego ośrodka żydowskiego mogłoby w dalszym rozwoju przypadków, których nie można przewidzieć, stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo dla uchodźców Żydów.

Wszyscy chcemy wrócić do Polski — zakończyłem — zapowiadam jednak jako prokurator Sądu Najwyższego, że ktokolwiek podpisze owo podanie, będzie zaarrestowany zaraz na granicy Polski za współpracę z wrogiem.

Było w tym oświadczeniu sporo „bluffu”. Ostatecznie byłem prokuratorem „in partibus infidelium”, autorytet mój osobisty w połączeniu z dawnym tytułem był jednak ogromny i od tej chwili przywódcy skrajnej grupy przycichli; nie było z nimi kłopotu. (...)

Uchodźcy Żydzi korzystali przede wszystkim z pomocy rumuńskiej burżuazji żydowskiej, która dysponowała znacznymi funduszami na te cele, adresami zakonspirowanych mieszkań, a przede wszystkim stosunkami, które ich chroniły.

Działała ona pod firmą „JOINT-u”, syjonistycznej organizacji pomocy Żydom, która starannie unikała jakichkolwiek kontaktów z nami. Nigdy nie udzielono

z tamtej strony pomocy ani naszej organizacji, ani uchodźcom Polakom nieżydowskiego pochodzenia.

Byli jednak uchodźcy Żydzi (zresztą nieliczni), którzy nie chcieli korzystać z pomocy „JOiNT'U”, podając najrozmaitsze tego przyczyny. (...)

Pewnego razu zgłosił się do mnie niejaki ob. Kobiela wraz z żoną (imion ich już nie pamiętam), który twierdził, że jest komunistą, że współpracował na terenie Lwowa z Armią Czerwoną i że w środowisku żydowskim nie będzie bezpieczny. Żona Kobieli była rzeczywiście chora. Opowiadali oni, że w czasie ucieczki pozostawili małe dziecko w polskiej rodzinie pod Lwowem, która udzieliła im tymczasowego schronienia. Uległem ich prośbom... zaryzykowałem. Ulokowałem Kobielową w szpitaliku kobiecym, a Kobiela, choć zdrowy, musiał też powędrować do łóżka. Po kilku dniach kuracji zrobiliśmy z niego sanitariusza. Chodził w białym kitlu i wkrótce pozyskał sobie sympatię moich podopiecznych, którzy początkowo energicznie protestowali przeciw ukrywaniu „nielegalnych” Żydów ze względu na obawę zbiorowej represji. Po pewnym czasie udało mi się wyrobić Kobielowi fałszywe papiery uchodźcze i wpisać ich na listę uchodźców z 1939 r. Wtedy wyjechali na prowincję.

Inny tego typu przypadek omal nie zakończył się dla mnie tragicznie. Pojawił się w mej kancelarii w godzinach wieczornych młody człowiek podając, że nazywa się Markiewicz (lub Markowski) i że jest studentem z Poznania. Spoza rozchełstanej koszuli błyskał mu złotem przesadnie duży krzyż na piersi. Negował zbyt gorąco, że nie jest Żydem, choć jego wygląd, wymowa oraz zupełna niezajomość stosunków na Uniwersytecie Poznańskim nie pozostawiała wątpliwości, że kłamie. Za żadną cenę nie chciał zgłosić się do „JOiNT'u”. Hysteryzował, prosił, aby go raczej wydać policji rumuńskiej niż wydalac z gmachu. (...)

W takich sytuacjach nie było właściwie wyboru. Trzeba było ryzykować własne życie, a nawet życie swych podopiecznych, aby chronić cudze życie. (...)

Miałem na ołbrzymim strychu gdzieś w kącie mały skromny pokój, wsparty o narożną ścianę dachu i sklecony z desek. Tam zleciłem zamknąć wieczornego gościa na klucz i donosić mu wodę i jadło. Do czasu wyrobienia fałszywych dokumentów nie miał on prawa opuścić pokoju. Tymczasem na trzeci dzień od jego przybycia zjawili się u mnie pięciu panów: dwóch agentów z „Singuranczy”, dwóch umundurowanych policjantów i piąty „cywil”, mówiący łamaną rumuńszczyzną: tzw. doradca z Gestapo. Chcieli zwiedzić dokładnie budynek. Pomyślałem: donos lub zwykły zbieg okoliczności, albowiem już kilkakrotnie przedtem miałem podobne kontrole. Nadrabiając miną zacząłem ich oprowadzać po wszelkich zakamarkach budynku, dowcipkując, opowiadając anegdoty i w ogóle starając się być jak najbardziej bezpośredni i niefrasobliwy. Po godzinie inspekcji, wyprowadzałem ich już z gmachu, gdy domniemany Niemiec zainteresował się nagle schodami wiodącymi na strych. Tłumaczyłem im, że nie warto wspinać się po stromych schodach, gdyż strych jest wymieciony do czysta i przygotowany w pełni do obrony przeciwlotniczej. Niestety, nie udał się ten manewr. Żywiłem jeszcze cichą nadzieję, że rzuciwszy okiem na strych, nie będą zbyt dokładnie go obchodzić. Niestety, dojrzano mój pokój i polecono mi go otworzyć. Rzecz prosta, wyjaśniłem, że pokój jest pusty, że klucz mi się zarzucił i że odszukanie go będzie wymagało trochę czasu. Zdecydowali się czekać. Mówiłem donośnym głosem po rumuńsku i po niemiecku, aby przygotować mego lokatora na spotkanie. Niestety sytuacji nie dało się przedłużyć w nieskończoność. Klucz musiał się znaleźć, gdyż już proponowano wyważenie drzwi. (...)

Wreszcie zgrzytnął klucz w drzwiach. Otworzono pokój. Nagle olśnienie: pokój był pusty. Mimowoli spojrziałem na małe okienko, przez które — zdawało się — można było wychylić zaledwie głowę. Jak się okazało, mój lokator dokonał niezwyklej gimnastycznej sztuki. Wycisnął się przez to okienko i trzymając się dachu oraz trawersując po dość wydatnym gzymsie, zdołał przedostać się na dach sąsiednich zabudowań i ulotnił się bez śladu. Nigdy mi ta możliwość nie przyszła do głowy.

Mój lokator wyłonił się dopiero po wkroczeniu wojsk radzieckich do Rumunii i po utworzeniu się Związku Patriotów Polskich w Rumunii. Przyszedł mi podziękować już w mundurze porucznika Armii Polskiej. Dowiedziałem się od niego, że jest przydzielony jako ochrona pociągów wiozących do Polski pomoc z tzw. „UNRA”. (...)

W miarę sukcesów Armii Czerwonej na froncie, nasza sytuacja w Bukareszcie stawała się coraz cięższa. Żydzi rumuńscy — mimo że powiązani z wielkim kapitałem miejscowym — uznali, że nie mogą się dalej narażać. Wtedy jointowska koza przyszła do naszego woza. W Komisji Pomocy Uchodźcom Polskim pojawił się p. Heller, młody, energiczny, inteligentny uchodźca ze Lwowa, który w Bukareszcie zdążył dorobić się malej tkalni i rozpoczął z nami pertraktacje, abyśmy przejęli rozdział zapomóg dla uchodźców Żydów. (...) Było to — rzecz prosta — i dla nas ryzykowne. Chodziło przecież o stosunkowo duże sumy, dostarczane nam anonimowo, poza wszelką księgowością i sporą ilość nowych twarzy w moim biurze, co mogło zwrócić na nas szczególną uwagę. Nie czuliśmy się w prawie odmówić: chodziło wszakże o obywateli polskich, którzy zbiegli przed prześladowaniem. Postawiliśmy jednak twardy warunek: na liście zapomóg muszą się znaleźć także Polacy z okresu powrześniowego, na których finansowanie nie mieliśmy własnych środków. Nie było ich zbyt wielu, około 10% w stosunku do Żydów. Po targach, warunek nasz został przyjęty.

Z przyjemnością stwierdzam, że nowi uchodźcy czuli się w naszym Ośrodku bardzo dobrze, reagowali żywo na wszelkie objawy ludzkiej życzliwości. Skarżyli się nieraz na oschłość i wyniosłe ich traktowanie w ośrodkach jointowskich. Nie byłem zdziwiony. Nowi podopieczni — to był proletariats żydowski, przeważnie drobni sklepikarze, rzemieślnicy, ludzie z getta. Klasowy mur, który ich dzielił od żydowskiej finansjery rumuńskiej, rysował się zupełnie wyraźnie. (...)

Pewnego dnia otrzymuję alarmującą wiadomość, że 6 uchodźców Żydów, którzy przybyli z Czerniowiec bez dokumentów do jednego z naszych prowincjonalnych ośrodków, policja rumuńska odwozi z powrotem nad granicę. A to oznacza ekstradycję i śmierć. Wydeptuję wszystkie ścieżki w ich obronie. Wszędzie obiecują mi pomoc. Urzędnicy rumuńscy czują koniec wojny i wyraźnie się asekurują. Ale konwój jedzie dalej i w nocy ma minąć Bukareszt. Czuję się oszukiwany. Ktoś radzi mi wreszcie udać się wprost do urzędującego w stolicy ministra spraw zagranicznych p. Davidescu, który był ponoć w swoim czasie attaché Ambasady Rumuńskiej w Warszawie. Cały dzień pracuję, aby się do niego dostać. Dopiero co był nalot. Podążam pustą ulicą wśród dopalających się domów i potwornego swędu spalizny.

Gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych wygląda na wyludniony. Minister przyjmuje mnie stojąc. Ku memu osłupieniu krzyczy na mnie od drzwi donośnym głosem, że Polacy są niewdzięczni, że właśnie otrzymał wiadomość o aresztowaniu kilku uchodźców rumuńskich w Portugalii, rzekomo na polskie żądanie,

że ja jestem temu winien, gdyż fałszywie informuję rząd polski i że mam natychmiast przez tajną radiostację te aresztowania odwołać.

Orientuję się, że minister bierze mnie co najmniej za delegata rządu polskiego z Londynu i uważa, że mam bezpośrednie powiązania z zagranicą. Podejrzewam znajomego Rumuna, który mi tę audiencję wyrobił, że naopowiadał bzdur na mój temat, aby posłuchanie doszło do skutku. Naraził mnie mimowoli na śmiertelne niebezpieczeństwo. Oczywiście — zgodnie z prawdą — ostro zaprzeczam, jakobym miał jakiegokolwiek kontakty z rządem w Londynie, ale widzę, że minister wyraźnie mi niedowierza. Uznałem wobec tego, że najbezpieczniej jest ostrożnie wejść w narzuconą mi rolę. Wśród zaprzeczeń i „dyplomatycznych” niedomówień, wśród zawołanych pogroźek, połączonych z komplementami pod adresem Rumunii i obietnicami bez jakiegokolwiek pokrycia, skłoniłem wreszcie p. Davidescu, że chwycił za telefon i kategorycznie zażądał od władz bezpieczeństwa zwolnienia 6 kandydatów do śmierci.

Na tym nie skończyła się „dziwna zabawa”. Gdy opuszczałem gmach, podbiegł do mnie młody człowiek, przedstawił się jako pracownik Ministerstwa i wepchnął mi w rękę olbrzymią pakę papieru.

— Nie mogę tego dłużej trzymać u siebie — szeptał nerwowo — to prasa polska z Londynu; p. Wolski, który zawsze ją odbierał, jest zaaresztowany.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, młody człowiek ulotnił się jak kamfora.

Do tej formy niesionej pomocy należy również zaliczyć pomoc adwokatów i pracowników wymiaru sprawiedliwości udzielającą kolegom i klientom narodowości żydowskiej na terenie sądów warszawskich na Lesznie. Sąd ten, położony na granicy getta, był miejscem kontaktów i zorganizowanej samorzutnie pomocy.

Adw. Aleksandra Makowska z Warszawy:

(...) Po utworzeniu getta w Warszawie miejscem bezpośrednich kontaktów z Żydami był budynek sądu przy ul. Leszno (obecnie Al. Świerczewskiego Nr 127).

Do budynku tego odrębnym wejściem wchodziłi „aryjczycy”, a odrębnym Żydzi.

Było zasadą w tym czasie, że prawie wszyscy pracownicy sądu i interesanci mieli pod swoją opieką zaprzyjaźnionych Żydów, którym dostarczali żywności.

Ja przynosiłam żywność Marii Urstajnowej, b. żonie dra Maurycego Urstajna, jak również dokonywałam zakupów, o które mnie prosiła.

Adw. Stefan Hartwig z Warszawy:

(...) W czasie okupacji gmach Sądów na Lesznie był również przez pewien okres na pograniczu Małego Getta z wejściem od ul. Ogrodowej.

Do Sądu przychodzili adwokaci narodowości żydowskiej i przy naszej pomocy załatwiali swoje osobiste sprawy, jak zaległe honoraria, sądy polubowne, żywność i lekarstwa.

Osobiście pomagałem adwokatom: Chainowi, Jakubowi Klajnwekslerowi i Gustawowi Grynszpanowi i wielu innym, których nazwisk już nie pamiętam. Z adwokatami tymi, poza koleżeństwem zawodowym, żadnych interesów nie miałem.

Adw. Wiktor Danielewicz z Warszawy:

(...) *W okresie okupacji teren Sądów był miejscem spotkań nas, adwokatów, z kolegami zamkniętymi w gettcie. Stale udzielaliśmy im doraźnej pomocy na terenie Sądów. Informowaliśmy ich o sytuacji. Osobiście wielokrotnie wręczałem kolegom papierosy, drobiazgi itp. Ostrzegałem o zbliżającej się likwidacji getta.*

## II. Działalność indywidualna

W rozdziale tym publikuję te relacje, które wskazują na samorzutnie podjętą akcję. Pobudką działania był najczęściej odruch ludzkiego serca, sterowany głębokim humanitaryzmem i patriotyzmem. Wyboru tego dokonałem bez żadnego kłucza, z nieznacznymi tylko skrótami.

Adw. Karol Pędowski z Warszawy:

(...) *W czasie okupacji udzielałem pomocy osobom narodowości żydowskiej, a w szczególności wyrobiłem fałszywe kenkarty, a następnie wyprowadziłem razem z moją babką, Heleną Pędowską, z Szop Szulca w dn. 30 listopada 1942 r. następujące osoby: małżonków Szpesów oraz pannę Zamenhoff, magistra farmacji. Osoby te zajmowały mieszkanie mojej babki przez okres półtora roku. Babka moja 1—2 razy w tygodniu przynosiła im żywność. Ja ułatwiłem im kontakty ze światem zewnętrznym. (...)*

*Kiedy sąsiedzi z pobliskich domów zaczęli się dopytywać, dla kogo babka moja nosi tak wielkie ilości żywności do „pustego” mieszkania, wszystkie trzy osoby, w nadmiernej zresztą ostrożności, przeniosły się do mieszkania, które wskazał adv. Rek Tadeusz, obecny sędzia Sądu Najwyższego (niedawno zmarł — przypisek E.M.).*

*Chcę marginesowo zaznaczyć, że w Powstaniu Warszawskim został zniszczony cały mój dorobek, ocaliłem jednak przechowywaną przeze mnie biżuterię pani Szpesowej, znacznej wartości i po Powstaniu jej zwróciłem.*

*Wszystkie trzy osoby przeżyły okupację.*

Adw. Wojciech Maciejko z Warszawy:

(...) *Zarówno przez moje mieszkanie, jak i moich rodziców przechodziło wielu Żydów na ogół mi nie znanych z nazwiska ani wtedy, ani obecnie; otrzymywali informacje, pomoc i wyżywienie. Przedkładam zachowane jedno oświadczenie siostr Wolfowicz, które najlepiej ilustruje ten fakt:*

*„My, Izabella i Ada Wolfowiczówny, zamieszkałe w Łodzi przy ul. Narutowicza nr 25 m. 11, przebywałyśmy w okresie okupacji niemieckiej w dzielnicy żydowskiej (w „ghetcie”) w Warszawie. W styczniu 1943 r., w przewidywaniu ostatecznej likwidacji „ghetta”, dzięki pomocy ob. Wojciecha Maciejki przedostałyśmy się na aryjską stronę. Mieszkałyśmy i żywiłyśmy się początkowo u ob. Wojciecha Maciejki w jego mieszkaniu przy ul. Wspólnej nr 15, a potem u jego rodziców przy ul. Chmielnej nr 11 aż do września 1944 r. Przez cały czas doznawałyśmy bezinteresownej pomocy, ochrony i serdecznej opieki. Dzięki niemu żyjemy.*

Wiemy również, że ob. Wojciech Maciejko udzielał pomocy również innym osobom, m.in. wyciągnął z „ghetta” i przetrzymywał u siebie w mieszkaniu Ludwikę Luks”.

Adw. Stanisław Jabłoński z Warszawy:

(...) W okresie okupacji sublokatorami przyjętymi przez nas byli pochodzący z narodowości żydowskiej: Nina, Ryszard, Wanda i zdaje się Leon Lubelscy (małżeństwo i 2 dzieci: lat 17 i 22). (...)

Było to na ul. Zaulek 19 m. 1 na Żoliborzu. Mieszkali w roku 1940 (1941?) aż do czasu przymusowego wysiedlenia do getta. Potem spotykaliśmy się z nimi (głównie z młodymi) na terenie Sądu na Świerczewskiego, gdzie byłem sędzią, i potajemnie przynosiliśmy im żywność, może kilkanaście razy. (...)

Brat mój, Roman Jabłoński, mieszkający w okresie wojny wraz z żoną i 2 dziećmi w Janówku pod Warszawą, opiekował się przez czas wojny młodą kobietą pochodzenia żydowskiego, która zmieniwszy kolor włosów (utlenione blond), ukrywała się w charakterze nauczycielki tych dzieci. (...)

Pani ta miała pseudonim Lena Relicz. (...)

Mieszkała od roku 1943 (lipiec). Po wyzwoleniu pojechała do Palestyny.

Adw. Zygmunt Oleszczyk z Warszawy:

(...) W czasie okupacji przechowywałem wraz z żoną mą Jadwigą, w naszym mieszkaniu (...) w Warszawie cenne zbiory numizmatyczne i filatelistyczne w kasetach, stanowiące własność adw. Ignacego Korala, który ukrywając się w Zielonce, wielokrotnie odwiedzał nas, zabierając poszczególne okazy dla spieniężenia. Reszta zbiorów tych spłonęła wraz z całym moim mieszkaniem w czasie Powstania Warszawskiego. (...)

Podobnie przechowywaliśmy różne meble (pianino, fotele itp.) i ubrania należące do bratowej adw. Korala, p. Ludwiki Koralowej, która również często w związku z tym zachodziła do nas i sprowadzała nabywców na poszczególne przedmioty. Trwało to do wybuchu Powstania.

Jako administrator domu, w którym mieszkałem, koncentrowałem w swym ręku opiekę nad powierzonym mi często przez lokatorów Żydów ich mieniem. I tak:

W początku okupacji miałem zdeponowane u siebie materiały wełniane należące do firmy „Bracia Ochrymscy”, aby nie wpadły w ręce ustanowionego nad nią później niemieckiego powiernika. Materiały te zabrały potem osoby upoważnione przez właścicieli, którzy sami dali mi znak życia i pamięci z m. Kobe w Japonii.

Podobnie przed udaniem się do getta zdeponowała u mnie w jednym dużym, częściowo rozbitym pokoju meble i rzeczy osobiste cała rodzina Polakiewiczów prowadząca przy ul. Wierzbowej magazyn i wytwórnę odzieży damskiej. Rzeczy osobiste częściowo zabrała ich synowa po zwolnieniu jej z obozu w Poniatowie, reszta uległa spaleni w czasie Powstania.

Adw. Mieczysław Thun z Warszawy:

(...) Od jesieni 1941 r. udzieliłem mieszkania Leonowi i Jadwidze małż. Szenwald wraz z córką Zofią. (...) Do czerwca 1942 roku Szenwaldowie mieszkali bez

wydarzeń, spokojnie. W czerwcu 1942 r. dwóch agentów prowadziło człowieka i na ulicy w pobliżu zastrzelili go. (...) Szenwaldowie przerazili się, wzięli drobne rzeczy w małe walizki, wyszli z domu na miasto i więcej nie wrócili. Na mieście Szenwaldowie wpadli w ręce policji niemieckiej i wkrótce zostali zamordowani. (...)

Szenwaldowie nosili ochronne nazwisko „Tucholscy”, a córka — Lasowska. Córka ocalała dzięki temu, że w czasie wypadku nie było jej w Warszawie. Obecnie mieszka w Londynie. (...)

W związku ze sprawą Szenwaldów byłem aresztowany i prawie rok trzymany w więzieniu na Pawiaku.

Adw. Stanisław Krajewski z Warszawy:

(...) Ukrywał i przechowywał Żydów adw. Edward Gołoś w Węgrowie. (...) Przechowywani żyją i mieszkają za granicą. (...)

Znam szereg osób, które w różny sposób udzielały pomocy Żydom. Sam należałem do takich. Masowo w nocy przez mój ogród przychodzili Żydzi po artykuły spożywcze. Ponieważ byłem w swoim czasie burmistrzem miasta, więc nie miałem nocy spokojnej. Rozdawałem chleb i różne artykuły, jak bieliznę i ubrania, obuwie. Między innymi poważnej pomocy udzielałem dr. Lajcherowi, oraz jego żonie i dziecku.

Dr Lajcher pochodził z Wyszkowa n/Bugiem i zasłynął w Obozie w Treblince z przywództwa w Powstaniu uwięzionych Żydów. Zginął w czasie pościgu hitlerowców za uciekającymi z obozu po zbrojnym buncie.

Z odległości prawie ćwierćwiecza, trudno mi jest obecnie operować nazwiskami i faktami. Wspomnę jeszcze i to, że w Izraelu mieszka dr. Szpilmanowa, córka fotografa Szpilmana z Węgrowa, i powinna stwierdzić, że jej ojciec ocalał, że był ukrywany i otaczany opieką i przez ob. Klemową i przez piszącego niniejsze oraz przez mojego syna. Nie przyjęliśmy od wspomnianego Szpilmana zwrotu pożyczki pieniężnej, kiedy wyjeżdżał do Izraela z żoną. Oni sami już zmarli w Izraelu i na pewno gdyby żyli, stwierdziliby okazywane im serce. Wie o tym ich córka zamieszkała w Izraelu.

Adw. Halina Więckowska z Warszawy:

(...) Pragnę przede wszystkim podkreślić piękną działalność mec. Heleny Wiewiórskiej w zakresie niesienia pomocy wszystkim zagrożonym, ktokolwiek zgłaszał się do Niej, nie znając nawet Jej osobiście, gdyż samo Jej nazwisko było dostateczną gwarancją, że pomoc uzyska. Licznie zgłaszali się również ludzie przesładowani przez Niemców z racji swego „niearyjskiego” pochodzenia. (...)

W myśl zasady przestrzeganej w czasie okupacji, nikt nikogo nie pytał się o jego prawdziwe nazwisko; wystarczyło, jeśli nie znając osobiście, powołał się na kogoś ze wspólnych znajomych, bądź też jeśli wywodził się z grona adwokackiego, że przedstawił się jako adwokat.

Zdarzyło się, że będąc u mec. Wiewiórskiej, pytała się mnie dyskretnie, czy nie znam adwokata aktualnie przebywającego u Niej, którego pamiętała tylko z widzenia.

W prowadzonych rozmowach już po wojnie mec. Wiewiórska nieraz nawiązywała do tych wspomnień i zaznaczała, że od wielu spośród adwokatów-Żydów mieszkających obecnie za granicą doznaje dowodów pamięci.



Wiadomo mi również, że *mec. Ryszard Minasowicz*, zamieszkały wówczas przy ul. Nowogrodzkiej 16 m. 4, przechowywał u siebie kolegów-Żydów, wykazując wiele troskliwości i opieki.

Jeśli idzie o mnie — to (...) mogę ogólnie stwierdzić, że będąc w tej szczęśliwej sytuacji, iż w czasie wojny zachowałam swoje mieszkanie (które uległo zbombardowaniu dopiero w czasie Powstania Warszawskiego), mogłam udzielać gościny potrzebującym, w tej liczbie i Żydom, oraz dostarczać im „aryjskie” dokumenty.

Przytaczam nazwiska: *mec. Mieczysław Ettinger* z rodziną, mój b. patron, wobec którego oczywiście miałam specjalne obowiązki.

*P. Millerowa* (wdowa po adw. Oskarze Millerze) wraz z córką *Lenorą*; adw. *Ruta Cyprysowa*, adw. *Rozenkranc* ze Lwowa; *p. Julia Keilowa* — rzeźbiarka; *pp. Reinhertz* — rodzice mojej koleżanki. Nazwisk innych osób dziś już dokładnie nie pamiętam, bądź nie znałam.

Adw. *Leszek Anteck* z Warszawy:

(...) W początkach 1943 r., jeśli się nie mylę w styczniu, zwrócił się do mnie znajomy mój *mgr Janusz Wakar*, który, znając moje warunki mieszkaniowe i zorientowany w tym, że w całym lokalu mieszkam sam z trzema kobietami, zaproponował mi, abym się zgodził na to, że on, który w ramach akcji „Żegota” wraz ze swoim oddziałem przeprowadza Żydów (przeważnie kanałami) z Getta, będzie mógł wykorzystać moją kwaterę na kilkanaście godzin dla nakarmienia i przebrania uratowanych przed przetruceniem ich na miejsce dłuższego pobytu. (...)

Oczywiście wyraziłem zgodę, stawiając warunek, że każdorazowo będę osobiście (a nie telefonicznie) zawiadamiany w dniu poprzedzającym taką wizytę, abym mógł wcześniej wrócić do domu i przygotować żywność, gdyż, jako kawaler, nie prowadziłem gospodarstwa, stołując się na mieście, a do domu wracałem tuż przed godziną policyjną.

W ten sposób kilkakrotnie gościłem u siebie zbiegów, nie zwracając tym niczyjej uwagi, gdyż w czasie okupacji goście przybywający wieczorem, wobec wczesnej godziny policyjnej, przeważnie korzystali z noclegu. (...)

W lutym 1943 roku, idąc pewnej nocy do łazienki, ku memu zdziwieniu, zobaczyłem w drugim korytarzu obcego mężczyznę z ogoloną głową, który na mój widok pośpiesznie zniknął z ciemnej kuchni. (...)

Dowiedziałem się w tajemnicy, że ów pan mieszka od kilku tygodni, w wielkiej dyskrecji, na pawlaczu koło kuchni i jest adwokatem Żydem.

Wiadomość ta zrobiła na mnie duże wrażenie.

Świadomość, że nieszczęśliwy, ukrywający się adwokat przebywa w fatalnych warunkach, stale w ciemności, nie dawała mi spokoju. (...)

Po nawiązaniu z nim kontaktów osobistych, dowiedziałem się, że wynajmuje od gospodyni ów pawlacz; oczywiście jest nie zameldowany i posiada lewą Kennkartę na nazwisko *Kamiński Czesław*, a do wybuchu wojny był wziętym warszawskim adwokatem. Nie pytałem go o prawdziwe nazwisko, bo było to dla mnie sprawą trzeciorzędną. (...)

*Kamiński* z nieukrywaną radością przyjął moją propozycję. Po kilku tygodniach zaprzyjaźniliśmy się, a on, nie rezygnując ze swojej kryjówki, zamieszkał w

sąsiednim (moim) pokoju, zwalniając go jedynie w wypadku zapowiadanych przez J. Wakara „wizyt”, o których celu oczywiście go nie informowałem. (...)

W nocy z 16 na 17 maja 1943 r. (...) około godziny pierwszej w nocy nagle zapaliły się światła w obu moich pokojach. Zerwaliśmy się w pośpiechu z łóżek, aby je zgasić, przygotowani na najgorsze, bowiem jedynie gestapo mogło w nocy zlecić dozorczy włączenie prądu. (...)

Kamiński chwycił swoje ubranie, poprzez mój pokój i korytarz przebiegł do drugiej, odizolowanej części mieszkania, gdzie mieściła się jego kryjówka, ja zaś pośpiesznie nałożyłem szlafrok i zastałem tapczan, na którym on spał. Chwilę potem rozległy się gwałtowne dzwonki u drzwi frontowych z jednoczesnym dobijaniem się do drzwi kuchennych. Udając zaspanego, wytrzymałem w napięciu około 2 min. aby dać czas Kamińskiemu na ukrycie się, po czym otworzyłem drzwi. (...) Wpadło pięciu, uzbrojonych nawet w granaty, gestapowców, wołając: „Kto tu jest adwokatem?” Oświadczyłem, że w tym mieszkaniu jedynym mężczyzną jestem ja i podałem im Kennkartę, w której mój zawód określał wyraz „prawnik”. Po obejrzeniu dowodu z krzykiem ponowili pytanie! Zrozumiałem, że nie znają nazwiska poszukiwanego, posiadając jedynie dokładny adres i zawód. Pomyślałem wówczas o możliwości podsłuchu telefonicznego i tytułowania odbierającego telefon „mecenasem”. (...)

Zrozumiałem, kogo poszukują, i zdałem sobie sprawę, że jeśli nie przekonam gestapowców, że ja jestem jedynym „mecenasem” w tym domu, to rozpoczną rewizję i wobec obstawienia obu wyjść z mieszkania, w ciągu paru minut znajdą na pawlaczu ukrywającego się Kamińskiego. Wyjąłem więc bezwzględnie legitymację aplikancką, wydaną przez Pałac Blanka, gdzie w rubryce zawód figurował „Rechtsanwalt referendar”. Po stwierdzeniu, że Kennkarta i legitymacja opiewają na to samo imię i nazwisko, gestapowcy zmienili ton, polecieli oddać domowniczkom pieniądze i zegarek, a samemu natychmiast ubierać się. (...)

Trzech gestapowców wyprowadziło mnie na ulicę i umieściło w budzie politycznej. (...)

Wbrew utartemu zwyczajowi zawieziono nas bezpośrednio na Pawiak, gdzie roilo się od bud policyjnych i tłumów dowożonych co chwila aresztantów. Jak się później dowiedziałem, w tej olbrzymiej akcji, kierowanej przez referat specjalny 4A—3C, której celem była ponoć likwidacja organizacji komunistycznych, aresztowano ponad 1000 mężczyzn i 56 kobiet i młodocianych. (...)

Dzięki pomocy zarówno lekarzy, jak i współwięźniów szczęśliwie przebrnąłem przez pierwsze dwa tygodnie pobytu w więzieniu. Nad ranem z 28 na 29 maja tegoż roku nastąpiło masowe „rozwalanie” aresztowanych więźniów Pawiaka na terenie Getta. Rozstrzelano wówczas 1150 mężczyzn, 32 kobiety i kilku chłopców, m.in. syna i żonę mego współtowarzysza z celi prof. Tadeusza Malinowskiego. (...)

Sposób badania mnie w śledztwie wskazywał na brak jakichkolwiek zarzutów związanych z moją osobą i potwierdzał początkowe przypuszczenie nabyte już w trakcie aresztowania, że w moim mieszkaniu poszukiwano nie mnie, lecz tego anonimowego adwokata, po którego przyjechało wówczas gestapo. (...)

Tak dotrwałem do dnia 13 lipca 1943 r., kiedy to zostałem zwolniony. Razem ze mną opuścili więzienie adwokat Tadeusz Scharmach i prof. Karol Borsuk. (...)

Gdy po kilku dniach przyjechałem do mego dawnego mieszkania po odbiór rzeczy, (...) gospodyni w krótkich słowach zrelacjonowała mi przebieg wydarzeń bezpośrednio po moim aresztowaniu.

Kamiński po wybiegnięciu z mego pokoju, gdy usłyszał dobijanie się gestapowców do drzwi kuchennych, otworzył w pokoju gospodyni okno, chcąc wyskoczyć z czwartego piętra na ulicę. Udało się jej go powstrzymać i ukryć za serwantką stojącą w jej pokoju. Gdy gestapo po aresztowaniu mnie opuściło mieszkanie, Kamiński podobno wpadł we wściekłość, wymyślając pod moim adresem, że na skutek rzekomo zbyt powolnego ubierania się i szukania butów narażalem go na przypadkowe odkrycie przez obecnych w domu gestapowców i nieomal nie doprowadziłem do samobójstwa. (...)

Po wyzwoleniu, chyba w końcu lipca 1945 roku, na rogu ul. Wileńskiej i Targowej niespodziewanie spotkałem dawnego Czesława Kamińskiego. Zaskoczony moim widokiem, stanął jak wryty. Opanował się, dość chłodno oświadczył, że cieszy się, że żyję (nazwisko moje jako straconego figurowało w majowych gazetkach konspiracyjnych), oświadczył, że działa w jakimś Komitecie Żydowskim, ponadto ma własną kancelarię adwokacką na ulicy Wileńskiej, do której właśnie bardzo się spieszy. Nic więcej nie miał mi do powiedzenia.

Adw. Mieczysław Buczkowski z Warszawy:

(...) Na przełomie roku 1942/43 p. Danuta Czerwińska (...), która sama udzielała pomocy Żydom, jak również jej szwagierka Hanka Szczudłowa (...) prosiły, byśmy udzielili schronienia Jance Zawadzkiej, której w zimie udało się zbiec z Getta warszawskiego. (...)

Niezależnie od tego na prośbę Marii Bieńkowskiej (...), która również udzielała pomocy i schronienia Żydom, dostarczyłem za jej pośrednictwem tym Żydom, którym albo udało się zbiec z Getta, albo którym udało się uniknąć izolacji, kilkanaście sfingowanych (na oryginalnych drukach) dowodów zatrudnienia w Ernährungsamt, co dawało im pewną ochronę w czasie łapanek i zabezpieczało przed zatrzymaniem.

Adw. Łazarz Menes z Warszawy:

(...) W okresie okupacji hitlerowskiej w Polsce, a w szczególności po opuszczeniu przeze mnie ghetta warszawskiego, szeroko korzystałem z pomocy szeregu współobywateli Polaków i tylko tej pomocy zawdzięczam to, iż przeżyłem okupację.

W szczególności już po upadku powstania w ghetcie, gdy rodzice moi zginęli, a ja pozostałem sam, po wielu tygodniach ukrywania się w ruinach ghetta — dzięki pomocy robotników Polaków zatrudnionych przy zbieraniu żelastwa na terenie ghetta — nawiązałem kontakt listowy z moją obecną żoną, podówczas narzeczoną, Zofią Owsianą.

Z kolei żona moja w sierpniu 1943 roku zorganizowała przy pomocy w. wym. robotników wywiezienie mnie z ghetta; razem ze mną wywieziony został współukrywający się ze mną niejaki N. Seitman, obecnie przebywający w Izraelu.

Personalii tych robotników ani ja, ani moja żona, niestety, nie znamy, jak też nie zgłosili się oni do nas po Wyzwoleniu.

Po wywiezieniu nas z ghetta, ulokowani zostaliśmy w mieszkaniu Józefa i Dominiki K. (...)

Obecnie Państwo K. nie żyją, żyją natomiast obie córki — p. Ludwika K. (...) i p. Wanda K. (...), z którymi jestem w serdecznym kontakcie.

W mieszkaniu tym ukrywaliśmy się bez wychodzenia na ulicę do wybuchu Powstania Warszawskiego.

Po upadku Powstania wyszedłem z Warszawy z tłumem wygnanych mieszkańców miasta i zostałem przygarnięty wprost z szosy przez nie znanego mi podówczas rolnika w kolonii Grzędy pod Tarczynem — Józefa Dębskiego. Tam ukrywałem się do chwili Wyzwolenia, będąc traktowany jak członek rodziny.

Obecnie Józef Dębski nie żyje, ale żyje jego żona Julia Dębska i dwaj synowie: inż. Stanisław Dębski i inż. agronom Bronisław Dębski.

Należy dodać, że na terenie wsi nawet nie bardzo się ukrywałem, wiele osób mnie знаło i odnosiło się do mnie z całą życzliwością.

W końcu jest moim obowiązkiem nadmienić, że wszyscy wyżej wymienieni ratowali mnie — w kilku wypadkach całkowicie obcego im człowieka — z całą świadomością ryzyka, na jakie narażali siebie i swoje rodziny, i że tylko ich wyłączną wielką i ludzką zasługą jest moje ocalenie.

Adw. Witold Bayer z Warszawy:

(...) W czasie okupacji hitlerowskiej 1939—1945 udzielałem osobiście pomocy trzem adwokatom zamieszkałym w Warszawie:

1. Mordko Goldfarb
2. Gamszej Abram Wielikowski
3. Abraham Mordka Wagner.

Pomoc trwała 1—2 lata i wyrażała się w dwu formach: zasilki pieniężne i bezinteresowne prowadzenie spraw klientów w/w adwokatów.

Ponadto w mieszkaniu moim w Warszawie (...) w ciągu 2 lat ukrywała się nauczycielka z Łodzi pochodzenia żydowskiego. Nazwiska jej już nie pamiętam. Po wyzwoleniu widziałem ją na ulicy w Warszawie.

Nigdy jednak nie odwiedziła mego domu, aby podziękować za doznaną opiekę.

Adw. Jerzy Bednarczyk z Warszawy:

(...) Rodzice moi, tj. Bronisław i Stanisława Bednarczyk, mieszkający podczas okupacji razem ze mną w Warszawie, (...) przez cały okres okupacji, tj. konkretnie od m-ca czerwca 1940 r. do m-ca lipca 1944 r. w Warszawie, a od lipca 1944 do stycznia 1945 r. we wsi Miedniewice pod Żyrardowem, ukrywali i przechowywali pod fałszywymi dokumentami niejaką Celinę Borstem (...), której wyrobili fałszywe papiery na nazwisko „Celina Borowska” i która przechowywała się w charakterze kuzynki. W/wymieniona przeżyła okres okupacji i zmarła w Warszawie w 1962 r.

Brat mego ojca, Franciszek Bednarczyk, w okresie okupacji ukrywał (przy wydatnej pomocy mego ojca) niejakiego Tadeusza Kona, któremu w 1941 roku pomógł w ucieczce z warszawskiego Getta, gdy ten miał lat 15-cie, i następnie ukrywał go przez cały czas okupacji w swym domku w Józefowie. (...)

W/wymieniony Tadeusz Kon (...) przeżył okupację, po wojnie ukończył Wydz. Elektr. Politechniki Warszawskiej i wyjechał za granicę.

Adw. Witold Buczkiewicz z Warszawy:

(...) Udzielałem pomocy mojemu koledze szkolnemu Adamowi Szpeiserowi. W 1940 r. dopomogłem mu do uzyskania „lewych” dokumentów na nazwisko „Majewski”, pod którym to nazwiskiem przeżył okupację. Ponadto pomoc moja i mo-

jej najbliższej rodziny polegała na utrzymywaniu z nim stałego kontaktu, zaopatrywaniu w różne materiały. Od czasu do czasu przyjeżdżał do nas na 2—3 dni, zmieniał bieliznę, kąpał się itp. Ostatni kontakt, jaki z nim miałem, to był list z Australii.

Adw. Jan Czerwiakowski z Warszawy:

(...) W lecie 1941 r. w domu moim w Wesołej pod Warszawą (...), w którym zamieszkiwała stale matka mojej żony, schroniła się rodzina żydowska, złożona z czterech osób, wówczas pod nazwiskiem Kozłowskich: dwojga dorosłych — rodziców z dwojgiem dzieci w wieku 4 i 6 lat. Uciekli oni przed likwidacją getta w Otwocku, byli zupełnie bez środków do życia, kobieta w bardzo złym stanie zdrowia. Mieszkali bezpłatnie, długie miesiące byli na częściowym utrzymaniu moim. Nigdy przed przyjściem ich do tego domku z prośbą o udzielenie schronienia nie znaleźliśmy ich. Mieszkali do września 1944 r., kiedy wszyscy mieszkańcy Wesołej byli ewakuowani przez wojsko niemieckie na skutek zbliżania się linii frontowej. Obecnie ówczesna rodzina Kozłowskich mieszka pod swoim istotnym nazwiskiem Goldstein w Haifie w Izraelu, łącznie z synem i córką.

W zimie 1942 r. listownie poprosił nas ksiądz prałat Antoni Godziszewski, stale zamieszkujący w Częstochowie (obecnie już nie żyjący), o pomoc i opiekę dla dwóch braci Teodora i Leopolda Szajnow, którzy chwilowo schronili się u niego przed likwidacją getta w Częstochowie. Obydwaj zamieszkali (jeden z nich z córeczką sześciolatką) u siostry mojej teściowej, również w Wesołej pod Warszawą (...), p. Natalii Jaroszyńskiej. Po pewnym czasie należało dla nich zmienić miejsce pobytu; wtedy jeden z nich, Leopold Szajn, zamieszkał na pewien czas u mnie w Warszawie przy ul. Mazowieckiej 11, córeczka została umieszczona w klasztorze na Bielanach, gdzie przebywała prawie cały czas do powstania, parę miesięcy przed powstaniem zamieszkała u dr Janiny Krassowskiej na ul. Filtrowej. (...)

Leopold Szajn zmarł w kilka lat już po wojnie, Teodor Szajn żyje dotąd, jak również córka Leopolda Szajna. W uratowaniu rodziny Szajnow z getta wzięła udział czynny p. Zofia Kanczewska.

Adw. Wiktor Danielewicz z Warszawy:

(...) W latach 1940—1944 współpracowałem ściśle z żoną moją Heleną, będącą delegatką towarzystwa Patronat i stale pracującą przy zasilaniu więzienia Pawiak we wszelkie środki pomocnicze (leki, żywność itp.), a jednocześnie pełniąc funkcje kontaktowe z organizacjami podziemnymi. W ramach tej akcji była udzielana wydatna pomoc osobom pochodzenia żydowskiego. Dziś trudno wymienić długi szereg nazwisk osób którym udzielano pomocy za moim pośrednictwem. Pozostał mi w pamięci jeden szczególny wypadek ukrycia dziecka Żydów węgierskich więzionych na Pawiaku: mały Józio Schtrausch (lat 8), który ocalał dzięki włączeniu go z narażaniem osobistym do grupy dzieci polskich. (...)

Ukryłem u siebie w domu Marię Rakower (obecnie w Izraelu), właścicielkę domu przy ul. Wileńskiej 5 w W-wie. Dzięki temu ocalała, gdyż uciekła i była w chwili schronienia się u mnie poszukiwana przez Niemców. Oczywiście takie ukrywanie było osobistym narażeniem się.

Adw. Tadeusz Gromkowski z Warszawy:

(...) W latach 1942—1944 (do końca Powstania Warszawskiego) w moim mieszkaniu w Warszawie przy ul. Pięknej 47 m. 9, przebywała na wyłącznie moim

utrzymaniu, pozostawiona bez środków do życia osoba narodowości żydowskiej, poprzednio zamieszkała w Łodzi, Helena Nawrocka. (...) Jej nazwiska rodowego nie pamiętam. Wiadomo mi, że Helena Nawrocka w pierwszych latach po wojnie zamieszkała z powrotem w Łodzi.

Adw. Jan Górlński z Warszawy:

(...) Po zakończeniu działań wojennych w 1939 r., w których brałem czynny udział, a także przy obronie Warszawy, zaciągnąłem się do organizacji w 1 Pułku Strzelców Podhalańskich (...).

Zadaniem naszym było na każdym odcinku, czy to wojennym, czy też propagandowym lub gospodarczym, szkodzić okupantowi, a przede wszystkim udzielać pomocy więźniom wszystkim uciśnionym przez okupanta.

Do tych należeli szczególnie Żydzi, którzy w czasie okupacji byli wyjęci z ochrony prawa. Toteż na tym terenie, na którym pracowaliśmy, to jest na terenie Podhala (powiaty nowotarski, limanowski, nowosądecki, grybowski i gorlicki) pomagaliśmy czynnie osobom narodowości żydowskiej. Ja osobiście pomagałem w nabywaniu artykułów spożywczych rodzinie Jochimów i Gryblów zamieszkałych w Skrzydlnej. (...)

Nadto czuwaliśmy, jako konspirenci o charakterze wojskowym, nad bezpieczeństwem ukrywających się Żydów Gryblów, a skoro oni przez swoją nieostrożność zostali aresztowani, zadenuncjonowani przez agenta gestapowskiego Józefa Kozę, zam. w Skrzydlnej, konspiracja podziemna wydała wyrok śmierci na agenta Kozę i wyrok na nim został wykonany w czerwcu 1944 r. Nadto gospodarz Hyział Władysław, zam. w Skrzydlnej pow. Limanowa, przez dłuższy czas ukrywał we własnym domu Żyda Jochima, który, jak się dowiedziałem, przeżył okres wojenny.

Adw. Alicja Grębecka z Warszawy:

(...) Ojciec mój Tadeusz Worski, zmarły w 1963 r., udzielał w wielokrotnych wypadkach pomocy w czasie okupacji prześladowanej ludności żydowskiej. Ojciec mój przez całą okupację był kierownikiem fabryki porcelany „Cmielów” w Cmielowie, stąd miał pewne możliwości, naturalnie z narażeniem życia, zatrudnienia w tejże fabryce ludzi pochodzenia żydowskiego. Z tego, co ja sama pamiętam, ojciec przywiózł z Krakowa inż. architekta Fryderyka Tadaniera w październiku 1942 r. i zatrudnił w charakterze inżyniera (z przydzieleniem pokoju służbowego na terenie fabryki) do lipca 1944 r. Inż. Fryderyk Tadanier zmarł w Krakowie w 1961 r. (...)

Tuż przed likwidacją ghetta ojciec wystarał się o zezwolenie na stworzenie warsztatów krawieckich, szewskich, kuśnierskich dla potrzeb fabryki i już dośłownie w ostatniej chwili z załadowanych wagonów wy dostał 80 Żydów zdolnych do pracy i zatrudnił ich w tychże warsztatach, skąd wielu z nich z pomocą mego Ojca i innych Polaków zbiegło do lasu do licznych na terenie Kielecczyny oddziałów partyzanckich.

Ponadto pamiętam, że przebywały u nas rodziny żydowskie przewożone z Kielc do innych miejscowości oraz że Ojciec, dysponując fabrycznym samochodem, przewoził kilkakrotnie kobiety pochodzenia żydowskiego do W-wy do chirurga dr Michałka-Grodzkiego zam. na ul. Jasnej 8 celem przeprowadzenia operacji kosmetycznych.

Adw. Jacek Grębecki z Warszawy:

(...) Lata wojny i okupacji spędziłem na Wołyniu w swoim rodzinnym mieście Włodzimierzu Woł., gdzie urodziłem się, wychowałem, ukończyłem gimnazjum i gdzie po uzyskaniu dyplomu mgra praw na Uniwersytecie Warszawskim odbyłem aplikację sądową i następnie pracowałem w kancelarii adw. dr. Ozjasza Weitera. Tam też mieszkała cała moja rodzina, matka, cztery siostry ze swoimi mężami i dziećmi oraz czterej bracia ze swoimi żonami i dziećmi.

W tymże Włodzimierzu po ustanowieniu we wrześniu 1939 r. władzy radzieckiej praktykowałem jako adwokat aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 r. Włodzimierz Woł. znajdował się 12 km od ówczesnej granicy radziecko-niemieckiej i został zdobyty już na drugi dzień. Od razu zaczęły się prześladowania ludności żydowskiej, egzekucje uliczne, łapanki, nocne naloty, zapędzenie do getta, znęcanie się i wreszcie pogrom i likwidacja getta. Zginęła cała moja rodzina, ogółem 22 osoby. Ocalał tylko mój brat dr Isaac Green i ja. Brata — z narażeniem życia — przechowała w Szpitalu zakaźnym pielęgniarka Halina Krzyżanowska, mnie zaś koleżanka tejże pielęgniarki, też pielęgniarka, Irena Ziental, która ukrywała też lekarza Tobiasza Lewutę z żoną (obecnie są w Izraelu). W tym samym szpitalu trzecia pielęgniarka Stanisława Szwałtowa ukrywała lekarza Michała Blocha z rodziną (obecnie w Australii) oraz dr Jakirę (obecnie przebywa w Izraelu). W czasie trwania pogromu, do Szpitala wpadali kilkakrotnie gestapowcy i ukraińscy milicjanci, szukając żydowskich lekarzy i grożąc rozstrzelaniem w razie ich ujawnienia, jednakże nikt z personelu szpitalnego (sami Polacy), choć prawie wszyscy wiedzieli o tym, kogo i nawet gdzie ukrywają pielęgniarki, nie zataił się i nie wydał. Po kilku tygodniach przeniosłem się nocą wraz z bratem oraz dr Lewutem i jego żoną Ireną do mieszkania mojej znajomej i klientki p. Marii Sobiepanowej, gdzie opiekowała się nami ona sama i jej córka Tamara Sobiepanowa (obie mieszkają obecnie w Bratystawie CSRS).

W krótki czas później Sobiepanowa skontaktowała nas z chłopcem z Władysławówki, kolonii odległej od Włodzimierza o 20 km., który bez namysłu zgodził się zabrać nas czworo do siebie i przechować aż do końca wojny. Jest to Franciszek Strójwągś, mieszkający obecnie w Hrubieszowie, ul. Pobereżańska 39, bezrolny i biedny chłop, który miał starą chatkę na skraju lasu. Zarówno on, jak i jego żona Anna otoczyli nas ojcowską opieką, dzieląc się z nami dosłownie ostatnim kęsem. Aby móc utrzymać nas, ukrywających się w stodole i swoje dzieci, Strójwągś pędził bimber, handlował nielegalnie mięsem, kłusował w lesie, a niekiedy nawet zakradał się do niemieckich magazynów żywnościowych, ryzykując rozstrzelaniem na miejscu. O tym, że nas przechowuje, wiedzieli: jego teściowa Maryna Dąbrowska (nie żyje), szwagier Antoni Worosiuk i szwagier Józef Pawlak (obecnie mieszka we Włodzimierzu), którzy podrzucali mu produkty żywnościowe dla nas.

Tam przebywaliśmy aż do sierpnia 1943 r., kiedy to ukraińskie bandy UPA, banderowców i mielnikowcy zaczęli wybijać Polaków. Wraz ze Strójwągśami uciekliśmy do lasu, gdzie przebywaliśmy aż do listopada tegoż roku, przy czym razem z nami ukrywały się ocalałe z rzezi rodziny polskie. Wtedy dowiedzieliśmy się od nich, że o naszym pobycie u Strójwągśów wiedziała prawie cała Władysławówka, a nawet ksiądz pobliskiego Swojczowa (nie żyje, rozstrzelany przez bandy), który spowiadającym się lub radzącym się u niego wiernym i parafianom nakazywał opiekować się nami i pomagać biednym Strójwągśom. Jeszcze w czasie

przebywania na wiosce Strójwąg udawał się do Włodzimierza i zgłaszał się do naszych przyjaciół i znajomych z prośbą o materialną pomoc. Wielokrotnie przywoził obfite paczki od dr Zienkiewicza (nie żyje), dr Dudka, dr Turowicza, od adw. Włodzimierza Saprygina (zmarł kilka lat temu w Lublinie), od adw. Waleriana Wołoszewicza (nie żyje) i in.

Z końcem listopada, moczarami, udaliśmy się do Włodzimierza i tam pielęgniarka Irena Ziental zaprowadziła nas do mieszkania swojej matki, Bronisławy Zientalowej, na przedmieściu Włodzimierza na tzw. Działkach. Okazało się, że stara p. Zientalowa w tymże mieszkaniu już przechowywała 8-mioro osób, a mianowicie dr Mieczysława Keitelmana wraz z żoną mgr Otylią, dr Bernarda Torbeczko, dr Zygmunta Podlipskiego (wszyscy obecnie mieszkają w Izraelu) oraz kupca Szragę z żoną i córką i ich kuzyna Peklera (wszyscy obecnie mieszkają w Argentynie). W tym mieszkaniu zamieszkał z nami Strójwąg z żoną i dziećmi i on też się nami opiekował, wydobywając w ryzykancki sposób dla nas jedzenie. Dwukrotnie przeżywaliliśmy tam rewizję gestapowców, jednakże schron był wyjątkowo pomysłowo urządzony, a Strójwągowie, oboje przystawieni do muru, pod groźbą rewolwerów, odważnie i bohatersko zaklinali się, że nikogo poza nimi nigdy nie było i nie ma. Tej ich postawie i poświęceniu zawdzięczamy życie.

Na tych „Działkach” w odległości 200 m od domku Zientalowej, znajdowała się willa, należąca do p. Marii Dąbrowskiej, kierowniczkii szkoły, nauczycielki jęz. polskiego i historii, znanej działaczki endeckiej, przed wojną aktywnej antysemitki. Z powodu takiego sąsiedztwa musieliśmy być bardzo czujni i nie mogliśmy nawet wychodzić nocą na podwórze. Pewnego kwietniowego dnia w 1944 r. do willi p. Marii Dąbrowskiej zajechała ciężarówka z gestapowcami i ukraińskimi milicjantami i po kilkugodzinnej rewizji wyprowadzono z tej willi 18-ro osób, które załadowano na ciężarówkę i wywieziono do pobliskiego lasu, gdzie zostały rozstrzelane. Willę podpalono, zaś p. Marię Dąbrowską zabrano do Gestapo — i nazajutrz została rozstrzelana za przechowywanie Żydów. Okazało się, że ta „antysemitka” i bojowa endeczka od pierwszych dni okupacji przechowywała u siebie Żydów, i to najbiedniejszych, w tym jedną sparaliżowaną staruszkę, jednego beznogiego inwalidę, jedną ślepą dziewczynkę-sierotę i resztę przeważnie dzieci. Sama się nimi opiekowała, osobiście myła sparaliżowaną staruszkę, jeździła po sąsiednich dworach, zbierając produkty, sama sprowadzała do chorych lekarza, sama prała im bieliznę. Jednocześnie zorganizowała pomoc i kryjówkę dla inż. Jakuba Rajskiego i jego starej matki oraz siostry, których urządziła u swej byłej gosposi (nie żyje). I właśnie tych ludzi nie chciała wydać, choć ją męczono na Gestapo i obiecywano darować ujawniony fakt przechowywania u siebie 18-ga osób. Nie zdradziła nikogo, zniosła wszystkie męki, prawie nieprzytomną wyprowadzono ją na podwórze i rozstrzelano. (...)

O tym wszystkim dowiedzieliśmy się później, właśnie od inż. Rajskiego, który na wieść o „wsyspie” p. Marii w jej willi na Działkach chciał uciec z mieszkania jej b. gosposi, gdzie go w swoim czasie umieściła, ale stara gosposia uspokoiła go, że „Pani Profesorka zginie, a nie wyda”, co się rzeczywiście sprawdziło. Inż. Rajski przebywa obecnie w Kanadzie.

W kilka miesięcy później, w dniu 20 lipca 1944 r. przyszło Wyzwolenie. Do Włodzimierza wkroczyły pierwsze oddziały Czerwonej Armii i Wojska Polskiego. Byliśmy uratowani i wolni, wszystko dzięki szlachetności, poświęceniu, samozaparciu, ofiarności i prawdziwemu poczuciu człowieczeństwa, niepiśmiennego chłopca polskiego Franciszka Strójwąga i jego żony Anny.

Tak więc wiele, wiele osób, Polaków, prawdziwych ludzi, włączyło się w dłu-



gofalową akcją, w wyniku której został uratowany mój brat (obecnie przebywa w USA), ja oraz wszyscy pozostali wyżej wymienieni skazani na zagładę ludzie. Przechodziliśmy z rąk do rąk, z mieszkania do mieszkania ze schronu do schronu — zawsze i wszędzie spotykając się z sympatią, współczuciem, pomocą, opieką, życzliwością, przechodziliśmy bezbronni, zaszczeni, obdarci i głodni, ale ufni i przekonani, że nieodmiennie natrafimy na przyjaciół i sprzymierzeńców, na dobrych i szlachetnych ludzi, na prawdziwych Polaków, którzy w nieszczęściu w najgorszych czasach pogardy — bez wahania udzielą pomocy, ryzykując własnym i swojej rodziny życiem albo w najlepszym razie wolnością. I nigdyśmy się nie zawiedli.

Adw. Stanisław Gawron z Warszawy:

Od 1939 r. pracowałem społecznie na terenie Radomska i okolicy. Mimo zakrekirowania mi przez Niemców mieszkania z wszystkim co się w nim znajdowało, sam mieszkając prowizorycznie, zajęłem się zorganizowaniem pomocy dla sądowników przebywających w Radomsku i na terenie powiatu radomszczeńskiego, wysiedlonych z terenów Polski przyłączonych do Rzeszy. W moim mieszkaniu urządziłem dla nich tymczasowe schronisko. U mnie mieszkał i zmarł (na skutek zadanych mu przez Niemców urazów) b. sędzia Sądu Najwyższego (wysiedleńca z Poznania) Władysław Mayer. Również przechowywałem u siebie przez pewien czas b. prokuratora z Sosnowca — Suskiego wraz z żoną, szwagierką i teściową (kobiety były narodowości żydowskiej), a po przeniesieniu się ich do miejscowości Pławno, pomagałem im i ostrzegałem o grożących niebezpieczeństwach. Przez cały okres aż do czasu aresztowania mieszkał u mnie i miał utrzymanie wysiedleńca, b. sekretarz Sądu Okręgowego w Poznaniu Antoni Smi-gielski (aresztowany wraz ze mną i żoną, zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen). Mimo nacisku prezesa Sądu Apelacyjnego w Radomiu nie dopuściłem do umorzenia spraw cywilnych, w których Żydzi byli stronami, wychodząc z założenia, że niepopieranie przez nich spraw w terminach określonych procedurą cywilną spowodowane jest siłą wyższą (...).

Adw. Stefan Hartwig z Warszawy:

(...) W 1942 r. na jesieni przyszedł do mnie adwokat Henryk Man (vel Arbuzman) przed godziną policyjną o zmroku, oświadczył, że udało mu się zbiec z getta, i prosił o przenocowanie, gdyż miał udać się do swego domu na Tamce, gdzie miał przygotowaną kryjówkę.

Domy na pograniczu gett były stale kontrolowane przez Gestapo przy pomocy milicji lotewskiej.

Niemal w pół godziny po przyjsciu adw. Mana wpadła kontrola, lecz adwokat Man dobrze był ukryty we wnęce mieszkania i szczęśliwie ocalał.

W kilka dni potem o szarej godzinie adw. Man konspiracyjną rykszą pojechał na Tamkę, gdzie szczęśliwie przetrwał Powstanie 1944 r.

Po Wyzwoleniu adw. Man pisał do mnie z Paryża.-

Adw. Zdzisław Keck z Warszawy:

(...) W mieszkaniu swoim w Warszawie od października 1942 r. przechowywałem dwie osoby pochodzenia żydowskiego: Różę Hermann (nazwisko panięskie) oraz jej 13-letniego syna. Była to córka kupca i restauratora z Kołomyi, którą

znajomi skierowali do mnie, gdy w ucieczce przed prześladowaniem zbiegła z domu i szukała pomocy w Warszawie.

Wymieniona przebywała u mnie do wiosny 1943 r. i wyjechała na wieś, gdyż uznana, że tam bezpieczniej będzie przetrwać jej okres wojny.

Adw. Zbigniew Kozłowski z Warszawy:

(...) Brat mój Bolesław Kozłowski (zginął w Powstaniu) w 1941 r. wyprowadził z getta nie znane uprzednio naszej rodzinie młode małżeństwo — Zulę i Adama Michałowskich, którym drugi z moich braci ks. Tadeusz Kozłowski ułatwił zamieszkanie na terenie Krakowa. Po rozstrzelaniu Adama Michałowskiego, złapanego na ulicach Krakowa, przyjąłem wdowę po nim do swego mieszkania. (...) Wyrobiłem jej kennkartę na nazwisko Zula Szumińska. W mieszkaniu tym Zula Szumińska mieszkała do wiosny 1942 r., a jesienią 1943 r., wskutek ostrzeżenia dozorczy domu, wyprowadziła się. (...)

Wiosną 1942 r. brat mój Bolesław wyprowadził rodzinę Góreckich z getta, którą zaopiekował się mój brat ks. Tadeusz Kozłowski (zginął na Pawiaku). Rodzina ta była nam znana, gdyż syn Góreckich, chyba Janek, był naszym kolegą szkolnym z Gimnazjum im. Zamojskiego.

Pozatem wspólnie z moją siostrą Danutą Kozłowską udzielaliśmy kilkakrotnie schronienia w naszym mieszkaniu osobom narodowości żydowskiej.

Nie znam losów powojennych rodziny Góreckich. Zula Szumińska po wojnie pracowała w MHZ.

Adw. Wanda Kamińska z Warszawy:

(...) W czasie okupacji hitlerowskiej 1939—1945 r. pomagałam osobom narodowości żydowskiej lub pochodzenia żydowskiego.

Pochodzenia żydowskiego była kol. Jadwiga Zieleńczyk (nie pamiętam jej nazwiska mężowskiego). Kol. Zieleńczyk początkowo zgłosiła się do ówczesnych władz adwokackich i uzyskała wpis na listę adwokatów i nawet występowała w sądach. W pewien czas później zaczął jej się palić grunt pod nogami. Mieszkanie jej przy ul. Koszykowej 51 stało się punktem działalności jej siostry, znanej komunistki. Cała rodzina Zieleńczyków poczęła się ukrywać. W tym czasie nocowała u mnie Jadzia Zieleńczyk bądź u mojej przyjaciółki Marczewskiej, obecnie nieżyjącej. Pewnej nocy, gdy wyjątkowo rodzina Zieleńczyków nocowała w mieszkaniu na Koszykowej, zgłosiło się gestapo i wszyscy obecni zostali aresztowani. Wśród aresztowanych była Jadzia, jedna z jej siostr (druga, która z dziećmi przebywała pod Warszawą, ocalała) oraz rodzice.

W tym czasie przebywałam na Pawiaku jako więzień. Był to r. 1943. Cała rodzina Zieleńczyków została wówczas przywieziona na Pawiak. Jadzię zatrzymano na tzw. przejściówce. Przypadek zdarzył, że będąc z całą salą w łaźni więziennej, spotkałam się z Jadzią, którą też doprowadzono do łaźni. Wówczas dowiedziałam się od niej o ich aresztowaniu.

Pomagałam również dwóm innym prawniczkom, które znalazłam z okresu przedwojennego, gdy pracowały jako aplikantki sądowe w Sądzie dla nieletnich w W-wie, a ja byłam wówczas sędzią-przewodniczącą Sądu. Były to Janinna Ratnerówna i Sadowska, której imienia nie pamiętam. Sadowska uciekła z getta warszawskiego i nagle zjawiła się u mnie w mieszkaniu. Pomogłam jej się ukryć, początkowo u mnie, a potem u mojej przyjaciółki. Ratnerównie pomagałam ma-

terialnie, dostarczając jej żywność do getta warszawskiego. Ratnerówna zmarła w getcie, zaraziwszy się tyfusem.

Adw. Antoni Kupiec z Warszawy:

(...) W 1942 r. w lesie w Rudniku n/Sanem spotkałem ukrywającego się przed Gestapo Ludwika Erlicha, prof. prawa narodów Uniwersytetu J. Kazimierza we Lwowie. Poznałem go, gdyż byłem słuchaczem jego wykładów. Zabrałem go ze sobą do mojego brata Kazimierza, rolnika we wsi Bieliny, pow. Nisko, u którego ja również w czasie okupacji zamieszkiwałem. W tej wsi przebył kilka miesięcy: najpierw u mojego brata, później u innych gospodarzy (J. Koluch, Fr. Cudziłł), a następnie został przeze mnie przekazany do tartaku w Hucisku pow. Biłgoraj. Tu również został aresztowany, osadzony w więzieniu w Biłgoraju, odbity z więzienia wraz z innymi przetrwał okupację w lasach biłgorajskich. (...)

W 1942 r. na prośbę Obywateli-Żydów ukrywających się w Ulanowie n/Sanem sprowadziłem z Warszawy wyciągniętych z getta p. Marię Orzażewską z córką 5-letnią Danutą. Była ona córką kapelmistrza orkiestry dętej Radia Polskiego Furmańskiego, a żoną muzyka, Filharmonii Warszawskiej Orzażewskiego (zmarł 1941 r.). Zamieszkała we wsi Bielichy u moich krewnych Janiny Tabor — tu przetrwała do końca okupacji. Gospodynie wiejskie pomagały jej artykułami żywnościowymi, zapomogą finansową, skromną wypłacała jej miejscowa placówka B.Ch. Po wojnie wyjechała do Izraela wraz z córką. (...)

Wiadome mi jest ponadto, że w Ulanowie ukrywało się u Polaków kilku Żydów z Warszawy, m.in. płk. Karniada, dr lekarz Osuch, adwokat Walczak. Ten ostatni, ujawniony przez Gestapo, przeniósł się później na teren gminy Jarocin, pow. Janów Lubelski.

Adw. Jerzy Lewiński z Warszawy:

(...) Mec. Szulborskiego poznałem bliżej we wrześniu 1939 r. w czasie obrony Warszawy, gdzie jako pułkownik wojskowego korpusu sądowego pełnił funkcje Szefa Sądu Polowego. Po kapitulacji Warszawy i pierwszych brutalnych wystąpieniach hitlerowców o charakterze rasistowskim, płk. Szulborski z miejsca zainteresował się losem oficerów i żołnierzy pochodzenia żydowskiego, przeciwstawiając się aktom dyskryminacji. Mnie osobiście (bratem udział w walkach jako podporucznik rezerwy) dostarczył cywilne ubranie i pomógł w przedostaniu się do Łodzi, gdzie stale zamieszkiwałem.

Zagrożony aresztowaniem przez gestapo, przyjechałem do Warszawy w połowie listopada 1939 r. i porozumiałem się z mec. Szulborskim. Z jego inicjatywy nawiązaliśmy kontakt konspiracyjny. Uważał za rzecz bardzo istotną przeciwdziałanie zarządzeniom okupanta hitlerowskiego, zmierzającego do wyodrębnienia obywateli polskich narodowości lub pochodzenia żydowskiego i pozostawienia ich bez pomocy współobywateli-Polaków. Mec. Szulborski wręczał mi w swoim mieszkaniu przy ul. Grójeckiej 43 biuletyny radiowe, a następnie prasę podziemną z przeznaczeniem kolportowania jej na terenie Warszawy w dzielnicach zamieszkałych w większości przez ludność żydowską, której możliwość poruszania się po mieście była już w tym okresie przez terror hitlerowskich władz okupacyjnych poważnie ograniczona. Z chwilą utworzenia getta kontakt konspiracyjny utrzymywaliśmy. W zależności od możliwości i sytuacji kontaktowaliśmy się bądź w gmachu Sądów przy ul. Leszno, bądź w mieszkaniu przy ul. Grójeckiej 43, gdzie w dalszym ciągu wręczał mi prasę podziemną dla ludności zamkniętej w getcie.

Po powołaniu *mec. Szulborskiego* na Zastępcę Szefa Sądu Specjalnego przy Głównej Komendzie Armii Krajowej, zlecił mi systematyczne informowanie go o aktach terroru niemieckiego w getcie, o nastrojach zamkniętej tam ludności i postawie osób, którymi się interesował. Niezależnie od tej działalności politycznej nacechowanej dużą troską o los obywateli polskich narodowości lub pochodzenia żydowskiego *mec. Szulbórski* był zawsze gotów do bezpośredniej pomocy, z której wielokrotnie korzystał mój brat, adwokat Adolf Lewiński, do czasu tragicznej śmierci (rozstrzelany z rodziną przez siepaczy hitlerowskich w r. 1943 w Warszawie). Osobiście także niejednokrotnie korzystałem z pomocy *mec. Szulborskiego* i za jego staraniem uzyskałem metrykę parafialną na nazwisko Stanisław Manowiecki, co pozwoliło mi w grudniu odebrać legalną kennkartę.

Niezależnie od współpracy i pomocy udzielanej mi w związku z udziałem w polskim ruchu podziemnym, korzystałem z pomocy ludzi przypadkowo poznanych. I tak wiele serdeczności i całkowicie bezinteresownej pomocy udzielali mi pracownicy sklepu czekolady Wedla przy ul. Bielańskiej, w szczególności pani Rejmanowa. Wyraziła zgodę na wpuszczenie mnie tylnym wejściem do sklepu, kiedy odrywając się od grupy roboczej wychodzącej do pracy na tzw. stronę aryjską, pozostawiałem w sklepie ubranie robocze z opaską, przebierając się w normalne ubranie dostarczone mi przez towarzyszy przed wyjściem do miasta na umówione miejsce. Pod wieczór wracałem do sklepu, przebierałem się i dołączałem następnie do powracającej do getta grupy. Kiedy zamieszkałem w r. 1943 po „stronie aryjskiej” jako Stanisław Manowiecki, otrzymałem od p. Rejmanowej pozostawioną u niej na przechowaniu walizkę z moimi rzeczami, co stanowiło wówczas mój jedyny majątek. Jak wczoraj ustaliłem, p. Rejmanowa do dnia dzisiejszego pracuje u „Wedla” (obecnie na ul. Szpitalnej).

Korzystałem także z pomocy pieniężnej „Akcji Żegota” i z kolei (będąc zafanym „mężem zaufania”) przekazywałem pieniądze otrzymane dla blisko 10 ukrywających się obywateli pochodzenia żydowskiego.

W czasie Powstania Warszawskiego — jeśli dobrze pamiętam — 2 września 1944 r. zostałem wzięty do niewoli na Sadybie i w czasie transportu zbiegłem, ukrywając się do chwili wyzwolenia na trasie Pruszków—Grójec. Krzystałem z serdecznej pomocy wielu osób, które niejednokrotnie w sposób wyraźny bądź dorozumiany orientowały się w moim położeniu i sytuacji. Niektórych w ogóle nie znałem i nigdy już nie widziałem, a pozostała mi we wdzięcznej pamięci postać p. Szymańskiego z Głoskowa, którego ostatni raz widziałem w r. 1946, a który w okresie ludobójczej okupacji hitlerowskiej zawsze spieszył z pomocą ukrywającym się.

Adw. Jerzy Korycki z Warszawy:

(...) W czasie okupacji prowadziłem w latach 1941—44 firmę „Sadyba” w Warszawie przy ul. Zgoda 1. Razem ze mną pracowali w firmie pp. Jerzy Deubel i Stanisław Grodzieński. (...) Stanisław Grodzieński w rozumieniu ustaw norymberskich był Żydem. Praca w jawnej, zarejestrowanej i koncesyjowanej firmie pozwalała mu na posiadanie dobrych dokumentów, co niewątpliwie mogło się przyczynić do przeżycia okupacji.

Częstym gościem w naszej firmie był również Bolesław Ałapin. (...) Przychodził on do „Sadyby”, żeby przez czas otwarcia firmy móc spokojnie unikać tego wszystkiego, co mogło spotkać wówczas Żyda na ulicy. (...)

Oczywiście podanych wyżej faktów nie uważam sobie za jakąś zasługę.

Adw. Halina Lachs z Warszawy:

(...) W okresie okupacji wraz z matką moją Stanisławą Kirst przechowywałyśmy Żydów i udzielaliśmy im pomocy. Na dowód załączam artykuł z „Gazety Zielonogórskiej” z dn. 17.IV.68 r. pt. „Dwa lata wśród ludzi”, podpisany przez Eugenię Kulczycką, która u nas przebywała. W tym samym okresie ukrywał się u nas literat Kazimierz Brandys. Ponadto przez dom nasz przewinęło się wielu innych Żydów, których nazwisk już nie pamiętam, lub nie znam.

„Dwa lata wśród ludzi...”<sup>8</sup>

Nigdy nie myślałam o tym, że wspomnieniami w formie publikacji wrócę do miejsc, w których spędziłam lata wojny, do ludzi i przeżyć związanych z czasami pogardy. Uważałam, że jest to zamknięty, intymny rozdział mego życia, tkwiący w moim sercu i w mojej świadomości, rozdział niemal historyczny, znaczący postaciami ludzi, o których opowiadałam memu dziecku: dla mego piętnastoletniego syna okres okupacji hitlerowskiej jest swego rodzaju egzotyką. Chciałam, żeby znał nie tylko okrucieństwo agresji, wojny i okupacji, ale i w bezmiarze okrucieństwa to, co na tym tle najcenniejsze: bohaterstwo bez imienia, odwagę bez precedensu, bezinteresowne poświęcenie, głęboko ludzki humanizm i patriotyzm. (...)

Byłam już daleko od getta, gdy wybuchło tam powstanie, a w emilińskim dworze wszyscy z tą samą nadzieją i niecierpliwością co ja oczekiwali na wieści stamtąd. Pamiętam o tym zawsze, nie tylko w dniach kwietniowych, gdy w Polsce obchodzimy kolejne rocznice tych bohaterskich zmagañ z najeźdźcą.

Opuściłam warszawskie getto wiosną 1943, zaopatrzona w autentyczną metrykę nieżyjącej dziewczyny, która wtedy właśnie byłaby mniej więcej w moim wieku. Była to zdobycz na owe czasy niezwykle cenna: umożliwiała uzyskanie kennkarty w warszawskim Ratuszu, gdzie polscy urzędnicy w oparciu o świadectwo urodzenia wydawali je takim jak ja „in blanco”. Dokument ten stanowił glejt do poruszania się po Warszawie, oczywiście w tych granicach, w jakich poruszali się wszyscy narażeni na łapanki, aresztowania, deportacje do obozów koncentracyjnych.

Ksiądz dr Hilchen, proboszcz parafii przy ul. Łazienkowskiej w Warszawie, do którego zgłosiłam się, nigdy przedtem nie widział mnie na oczy. Znał mnie z opowiadań mego ojca. Powiedział: „Daję ci, moje dziecko, adres moich znajomych. Jedź tam, choćby dzisiaj, powołaj się na mnie.” (...)

Kolejka grójcka zatrzymała się w Mogielnicy, skąd drabiniastym wozem nieznanego chłop zawiózł mnie do majątku Emilin. Dzień był piękny, wiosenny, cieniasta aleja grabowa prowadząca do białego dworku wydała mi się drogą do rajów piekła getta i Warszawy, rozdygotanej od łapanek i egzekucji. Stanisława Kirst, licząca sześćdziesiąt lat, dawna działaczka POW i PPS, a wówczas przewodnicząca okręgu AK na powiat Rawa Mazowiecka, spytała tylko: „Dlaczego musiała pani wyjechać z Warszawy?” Parę sekund walki ze sobą: przyznać się czy opowiedzieć zmyśloną historię — i odpowiedziałam po prostu: „Uciekłam z getta.” Nie było cienia wahania w jej głosie, gdy odpowiedziała: „Dobrze, zostanie pani u mnie” (...).

Dwa lata chroniła mnie „pani dziedziczka”, jak ją wszyscy mieszkańcy Emilina nazywali, przed żandarmerią niemiecką z pobliskiego Nowego Miasta i Tomaszowa Mazowieckiego. Pamiętam jej niezwykłą radość i ulgę, kiedy przybiegłam do

<sup>8</sup> Eugenia Kulczycka: Dwa lata wśród ludzi..., „Gazeta Zielonogórska” z dnia 17.IV.1968 r.

dworu z czworaków, w których zjawili się żandarmi w poszukiwaniu partyzantów.

Pamiętam, jaka była szczęśliwa, kiedy w czasie pacyfikacji wsi ojciec jednej z moich uczennic, chłop, sobie tylko znanymi ścieżkami, omijając oblawę, przypro-wadził mnie do domu. Dwa lata — 730 długich dni — karmiła mnie i ubierała, usiłowała wydać mnie za mąż. (...) Robiła to wszystko z całą świadomością niebezpieczeństwa grożącego jej i jej bliskim za umożliwienie przetrwania obcej dziewczynie, której istnienia do chwili, kiedy się tam zjawiała, nie mogła nigdy przeczuwać. Dla niewtajemniczonych, nawet dla jej rodzonej córki, byłam osobą poleconą przez ks. Hilchena na stanowisko tzw. panienki domu, czuwającej nad gospodarstwem, kuchnią itp. „Pani dziedziczka” pomogła mi też zorganizować komplety tajnego nauczania dla dzieci chłopów z okolicy. Uczyłam języka polskiego, historii, matematyki i innych przedmiotów. Żyłam tak, jak żyły w tym czasie miliony Polaków, narażona na te same niebezpieczeństwa. Nie opusz-czała mnie jednak świadomość, że przeze mnie zginąć może wyspa człowieczeń-stwa, na której się znalazłam. Każdy dzień przynosi wieści o represjach, pacyfikacjach urządzanych przez hitlerowców, o masowych egzekucjach mieszkańców wsi, ale i o walce oddziałów partyzanckich z okupantem. Konspiracyjne gazетки wle-wały otuchę również i w moje serce. Macierzyńska serdeczność i czułość „pani dziedziczki” pomogły mi przetrwać najgorsze, a kiedy na przełomie jesieni i zi-my 1944 dochodziły do Emilina coraz bliższe odgłosy bitwy o przyczółek nad Warką, wiedzieliśmy, że wyzwolenie już bliskie.

Pewnego zimowego dnia zjawili się żołnierze Armii Czerwonej. A wtedy oka-zało się, że nie tylko „pani dziedziczka” wiedziała, kto przebywał pod jej dachem: rodziny chłopskie z pobliskich wsi, a także właściciele z sąsiednich majątków, czę-sto odwiedzający Emilin, jak również warszawiacy, którzy znaleźli tu schronie-nie po powstaniu — doskonale zdawali sobie sprawę, kim jestem. Przez cały czas nikt z nich ani przez chwilę nie wzbudzał mojego lęku. (...) Myślę, że mnie do dziś pamiętają. Nazywałam się wtedy —

Eugenia Kulczycka.”

Adw. Aleksander Lasocki z Warszawy:

(...) Od jesieni 1942 r. aż do wybuchu Powstania Warszawskiego moja żona za-mieszkiwała, korzystała z pomocy i opieki p. Heleny Roszczyckiej (ówcześnie za-mieszkałej przy ul. Asnyka nr 6), która, jako zaprzyjaźniona z moimi rodzicami, wiedziała o pochodzeniu żony i tym samym mogących się z tym wiązać konsekwencjach. Poprzednio zaś przez pewien czas przebywała tam moja młd-ka, która później zamieszkiwała i korzystała przez długi czas z pomocy pp. Ja-roszyńskich (zamieszkałych wtedy przy ul. Hożej — numeru nie pamiętam).

Adw. Stanisław Michalski z Warszawy:

(...) Kolega adwokat Aleksander Bronowski, (...) zaraz po (...) drugiej wojnie światowej opowiadał mi i mojej żonie, Stanisławie Michalskiej (...), że pod-czas okupacji niemieckiej przez długie miesiące ukrywał się w Warszawie u star-szej kobiety narodowości polskiej, która się nim opiekowała i dostarczała mu żywność, a gdy w okolicy, w której miała ona mieszkanie, gestapowcy mieli do-konywać szczegółowych rewizji mieszkań w poszukiwaniu ukrywających się tam Żydów — kobieta ta, żegnając się z nim, zawiesiła na jego szyi katolicki me-

dalik. W krótkim czasie po opuszczeniu jej mieszkania kolega ten został zatrzymany przez dwóch gestapowców, którzy kazali mu się rozbierać, ale zauważwszy na jego piersi katolicki medalik, odeszli od niego do innych dwóch mężczyzn, których po zrewidowaniu na miejscu rozstrzelali, albowiem — jak się później okazało — mężczyźni ci byli Żydami. Kolega adwokat A. Bronowski pod nazwiskiem „Wertheim” był przed drugą wojną światową adwokatem w Lublinie. (...) Kolega Bronowski przez pewien czas był wicedziekanem Rady Adwokackiej w Gdańsku. W roku 1952 przeniósł swoją kancelarię do Warszawy i w tym roku wyjechał z Polski do Izraela. Obecnie mieszka w Tel-Awii, gdzie pełni obowiązki notariusza i wykonuje zawód adwokata. Przed trzema laty był w Polsce jako członek jakiejś komisji żydowskiej do spraw o odszkodowanie.

Adw. Mieczysław Maślanko z Warszawy:

(...) W czasie wojny od roku 1943 przebywałem w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (Majdanek, Oświęcim, Sachsenhausen-Oranienburg).

Podczas pobytu w obozach korzystałem z pomocy i tak: w Majdanku udzielał mi pomocy adwokat Mieczysław Prószyński z Warszawy. Adwokat Prószyński był już starym więźniem Majdanka i kiedy ja zostałem tam przywieziony, skoro tylko dowiedział się o moim przybyciu, niezwłocznie się do mnie zgłosił. Od razu też zaczął okazywać mi wyjątkowo serdeczną pomoc i otoczył mnie specjalną opieką. Pomoc ta była dla mnie wyjątkowo ważna, wprost decydowała o moim życiu, albowiem adwokat Prószyński, jako pracownik magazynu, dzień w dzień ukrywał mnie przez okres kilku dobrych tygodni w tych właśnie magazynach, co mnie oczywiście uchroniło od niebezpieczeństwa stosowania represji i szykan ze strony siepaczy obozowych.

Muszę podnieść specjalnie jeden wypadek, kiedy adwokat Prószyński z narażeniem własnego życia (i to dosłownie) uratował moje życie. Było to w chwili, kiedy wataha własowców (pomocnicza straż obozowa) rzuciła się z kijami, chcąc mnie prosto zatłuc. Wtedy to adwokat Prószyński osłonił mnie i powiedział własowcom, że jestem pracownikiem magazynu i że nie wolno mnie ruszać. Zrobił to tak zdecydowanie, że własowcy odstąpili, a przecież narażał wtedy swoje własne życie. (...)

W Oświęcimiu spotkałem tam mego osobistego znajomego z Warszawy, prezesa Związku Zawodowego Kolejarzy Adama Kuryłowicza (zmarł w Warszawie w 1966 r.).

Kuryłowicz niezwłocznie mną się zaopiekował i jemu też mam do zawdzięczenia, że kilkakrotnie wyratował mnie przed wyznaczeniem do likwidacji w komorach gazowych.

Czynił to zawsze, rzecz zupełnie oczywista, z wyjątkowym narażeniem swojego osobistego życia i w sytuacji wyjątkowo dla niego niebezpiecznej.

Poza ratowaniem mego życia Kuryłowicz okazywał mi też stałą pomoc, i to przez cały czas mego pobytu w Oświęcimiu. Pomoc ta przejawiała się w postaci stałego alimentowania żywnościowego oraz pomocy lekarskiej.

Nie mogę też pominąć i tej specyficznej roli Kuryłowicza, który mnie ciągle podtrzymywał na duchu, nie dawał się załamać i na zawsze mi zostaną w pamięci nasze spotkania po apelu, kiedy Kuryłowicz komunikował mi, dla podtrzymania na duchu, nowości połykane przez radio. Jemu mam do zawdzięczenia przydział pracy, która mnie w warunkach obozowych do pewnego stopnia broniła i której w moich warunkach fizycznych byłem w stanie podolać.

Mogę stwierdzić z całą pewnością, że Kuryłowicz udzielał pomocy również i innym Żydom przebywających w Oświęcimiu. Korzystał np. z jego wydatnej pomocy profesor dr Mayzel, przywieziony do Oświęcimia ze Lwowa. (...)

W Oświęcimiu też spotkałem się z Janem Mosdorfem.<sup>9</sup> On też okazywał dużo serca i pomocy więźniom — Żydom. Ja osobiście doznałem od niego dużej pomocy, może decydującej o moim życiu.

Leżałem w szpitalu na bloku XIX. Mosdorf pełnił w tym bloku jakąś podrzędną funkcję kancelaryjną. I oto nagle w początkach września 1943 roku do tego bloku szpitalnego wpadł Kuryłowicz z wieścią, że mnie grozi indywidualna likwidacja i trzeba mnie z tego bloku natychmiast i niezwłocznie usunąć.

Mosdorf, nie zwlekając ani chwili, z narażeniem własnego życia, dosłownie w ciągu kilku minut załatwił skomplikowane w obozie formalności i zostałem po kilku minutach już przeniesiony na inny blok szpitalny Nr IX. I znów żyłem (Mosdorf niestety został rozstrzelany w Oświęcimiu w połowie października 1943 roku).

Adw. Aleksandra Makowska z Warszawy:

(...) W marcu 1943 r. sąsiadka moja w Aninie ob. Goździcka przyprowadziła do mnie Rebekę Mezrycer, będącą w stanie kompletnego wyniszczenia w celu udzielenia jej „dachu nad głową”. Zamieszkiwałam wówczas jako lokatorka w samodzielnym domku z ogródkiem, więc zameldowałam Rebekę M. jako pomoc domową pod nazwiskiem Anna Zaleska (posiadała odpowiednią kartę rozpoznawczą).

Rebekę Mezrycer opiekowałam się przez kilka miesięcy. W lipcu tegoż roku przyjechała na „wczasy” właścicielka domu i po zorientowaniu się, że jest u mnie Rebeka M. oświadczyła, że nie zgadza się na zamieszkiwanie Żydówki w jej domu, ze względu na groźące represje.

Rebeka M. została wtedy umieszczona u znajomych, zamieszkujących dalej na uboczu. Do mnie przychodziła ona ukradkiem nocować na strychu względnie przebywała tam całe doby i robiła papierosy, nakładając tytoń do gilz. Zanosila jej wtedy żywność na strych. Rebeka Mezrycer przetrwała okupację. (...)

W czasie bezpośredniej współpracy w Wydziale Prawnym Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy opowiadał mi adw. Izzak Klejnermann (w 1956 r. wyjechał do państwa Izrael), iż w czasie okupacji przechował się razem z rodziną u tramwajarza, zamieszkującego we własnym domu w Marysinie k/Warszawy.

Syn jego, mający wówczas około 10 lat, chodził do szkoły w Wawrze pod przybranym nazwiskiem „Nowak”.

Ze względu na wybitnie semickie rysy twarzy, I. Klejnermann ukrywał się na strychu w zamaskowanym pokoju, żona zaś jego zajmowała się sprawami aprowizacji i troską o codzienne sprawy rodziny.

O rodzinie tramwajarza, u którego przetrwał okupację adw. K., wyrażał się b. dobrze.

Małż. Zofia i Józef Kobylińscy, zam. w Wygodzie k/Warszawy ul. Szeroka Nr 10, przechowywali od marca 1943 r. Żyda Kolbe Icchoka przez okres kilku tygodni. Kolbe przybył do nich z dwiema małymi córkami, a żona jego schroniła się u innej rodziny polskiej. (...).

<sup>9</sup> Znany działacz politycznej prawicy ONR, przed wojną antysemita.



Do w/w rodziny Kobylńskich zgłosiła się pod koniec lata 1943 r. kilkunastoletnia dziewczynka Żydówka i przebywała przez kilka tygodni pod opieką tej rodziny.

Adw. Stanisław Nikolay z Warszawy:

(...) W czasie mego pobytu w Oflagu w Woldenbergu mieszkał w moim baraku Żyd adw. dr Michał Knepel (miał kancelarię w Łodzi, obecnie nieżyjący), gdy tymczasem winien był mieszkać w baraku przeznaczonym przez Niemców dla Żydów. Powyższy stan faktyczny zachowali wszyscy oficerowie Polacy w tajemnicy przed Niemcami.

Adw. Stanisław Pstrokoński z Warszawy:

(...) Udzielałem noclegu w swoim mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej 72 ob. Finklowi, zegarmistrzowi, znajomemu sprzed wojny, gdy ten ukrywał się przed Niemcami w czasie przesiedlania Żydów do getta. (...)

Wraz z moim bratem Januszem Pstrokońskim przechowywaliśmy w Olesinie Bernarda Fogelewicza vel Bolesława Chełczyńskiego. Fogelewicz dzięki temu przeżył wojnę. Zmarł w zeszłym roku w Tel Awiwie.

Adw. Jan Palatyński z Warszawy:

(...) W czasie pobytu w ghetcie warszawskim otrzymałem wraz z bratem (nieżyjący adwokat Tadeusz Zylber), w ramach akcji pomocy prowadzonej przez księdza Godlewskiego, pokój na Plebanii Kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie, gdzie zamieszkiwałem do czasu mej ucieczki, tj. do początków sierpnia 1942 r.

Pierwszą noc po ucieczce spędziłem w pokoju, w którym zamieszkiwałem przed przeniesieniem się do getta. Dalsze zamieszkiwanie tam było absolutnie niemożliwe, gdyż wszyscy okoliczni mieszkańcy znali moje pochodzenie. Nie miałem żadnych dokumentów. W tej bezradnej sytuacji wziął mnie do siebie Jan Staniszewski, zam. ówczesznie ul. Piaseczyńska 55, i wraz ze swoją b. żoną Danutą udzielili mi bezinteresownie schronienia przez parę dni do czasu otrzymania przeze mnie dokumentów, co umożliwiło mi wynajęcie pokoju.

Podkreślam, że Jerzy Staniszewski nie znał mnie osobiście; opowiedział mu jedynie o sytuacji, w jakiej się znajduję, nasz wspólny znajomy i on samorzutnie ofiarował swoją pomoc.

Adw. Maciej Perzyński z Warszawy:

(...) W latach 1943—1945 osobiście w swoim mieszkaniu w Warszawie przetrzymywałem kol. adw. Adama Radomskiego — poprzednie nazwisko Adam Rotrubin — byłego aplikanta adwokackiego mojego ojca. (...)

Matka moja udzielała pomocy i przechowywała okresowo żonę adwokata i matkę adwokata Henryka Zylberlasta. Adwokat Zylberlast w 1959 roku wyjechał za granicę i o ile mi jest wiadomo, kilka lat temu zmarł w Paryżu.

Adw. Karol Szwarec z Warszawy:

(...) W 1942 roku przechowywałem w moim własnym domu w Józefowie k/Otwocka moich znajomych, Józefa Wolskiego z żoną, którzy wyszli z zamkniętego getta warszawskiego i, z uwagi na swoje żydowskie pochodzenie, musieli ukrywać się przed okupantem.

Uczyniłem to ze względów humanitarnych i bezinteresownie, chcąc pomóc im w nieszczęściu.

Po pewnym czasie, gdy wśród sąsiadów mojej nieruchomości zaczęły krążyć wieści, że przechowuję Żydów, znalazłem dla pp. Wolskich nowe mieszkanie u moich znajomych.

W ostatnim okresie okupacji pp. Wolscy ukrywali się kolejno:

- 1) u Stefana i Barbary małż. Pawlickich w Warszawie oraz
- 2) u Feliksa i dr Antoniny małż. Przeradzkich na kolonii Błota k/Falenicy, gdzie doczekali się wyzwolenia.

Jest oczywiste, że pp. Wolscy uratowali się dzięki pomocy Polaków.

Adw. Władysław Szczyciński z Warszawy:

(...) W okresie okupacji niemieckiej niejednokrotnie żona i ja pomagaliśmy Żydom. Pomoc ta polegała na tym, że mieszkając na wsi w odległości ok. 10 km od miejscowości Sobolew, gdzie po zlikwidowaniu getta w Warszawie Niemcy zorganizowali nowe getto — uciekającym Żydom udzielaliśmy schronienia (na krótki czas), dawaliśmy strawę i odzież. Nazwisk tych Żydów, rzecz oczywista, nie znam, gdyż całe nasze postępowanie było okryte tajemnicą i nigdy nie pytałem korzystających z pomocy o ich nazwiska.

Adw. Genowefa Turowska z Warszawy:

(...) W 1943 r. na kolonii Staszica ukrywało się kilkoro dzieci w wieku 6—10 lat. Dzieci te dożywiałam, organizowałam zbiórkę żywności i ubrań między sąsiadami. (...)

W końcu 1943 r. siostra moja, Janina Krzewska ze Skierniewic, skierowała do mnie Helenę Grynbergową z prośbą o zaopiekowanie się nią. (...)

Helena Grynberg przebywała u mnie do Powstania. (...)

W pierwszych dniach Powstania, po urzędzonej przez Ukraińców rzezi w sąsiednim domu, uciekałam z córeczką, matką i H. Grynbergową przez Pole Mokotowskie na Polną 44 gdzie Powstańcy urządzili barykady i bronili się. Tam przebywała wraz ze mną do końca H. Grynbergowa. Żywili nas mieszkańcy tego domu. W pierwszych dniach października 1944 r. H. Gr. pożegnała się z nami i odeszła. Wolno było już wychodzić. Co się z nią dalej stało, nie wiem. W drodze do Pruszkowa nie widziałam jej. Jestem pewna, że się uratowała.

Jesienią 1943 r. klient mój Jan Mularski ze wsi Mokas pod Sochaczewem przysłał do mnie młodą Żydówkę z prośbą o wyrobienie dla niej dowodu osobistego. Była to córka krawca z Sochaczewa. Ojciec jej, matka i siostra ukrywali się w gospodarstwie Mularskiego. Udałam się z nią do kolegi mego syna i matka tego kolegi dostarczyła młodej dziewczynie po kilku dniach potrzebny dowód.

Wiosną 1944 r. Jan Mularski poprosił mnie, bym przyjechała do niego, gdyż potrzebuje mojej pomocy.

Gdy przyjechałam, był zdenerwowany i prosił mnie o radę, co ma robić z rodziną ukrywanego przez niego krawca, gdyż się boi, bo gestapowcy weszła.

Prosiłam go, by wytrzymał nerwowo, bo wojna się kończy. Już niedługo, niech jeszcze wytrzyma jakiś czas.

Mularski postuchał mnie. Po jakimś czasie krawiec z rodziną uciekł do lasu, bo przeszukiwali gestapowcy okoliczne wsie.

Adw. Gustaw Talikowski z Warszawy:

(...) W okresie od 1940 r. do 1944 r. pracowałem w Warszawie w firmie „Stanisław Krawczyński” pod przybranym nazwiskiem „Skarbimir Paciorkowski” z uwagi, że ukrywałem się przed władzami okupanta, jako oficer WP., biorący udział w wojnie p-ko Niemcom, który nie zgłosił się do przymusowej rejestracji oficerów, zarządzanej przez Niemców.

W/w okresie osobiście zatrudnionemu w firmie „Stanisław Krawczyński” Rutkowskiemu i jego żonie wyrobiłem dowody osobiste, po uprzednim uzyskaniu niezbędnych dla wyrobienia dla nich dowodów osobistych, aktów urodzenia z parafii kościelnej w Mszczonowie. Rutkowski i jego żona, po otrzymaniu dowodów osobistych stwierdzających, że są oni narodowości polskiej, mogli bezpiecznie przez okres okupacji pracować w firmie „St. Krawczyński”, w Warszawie przy ul. Srebrnej Nr 16.

Po wyzwoleniu Rutkowski wraz z rodziną wyjechał z Polski do Izraela.

Adw. Marian Węgrzynowski z Warszawy:

(...) Znajoma moja z czasów okupacji (obecnie moja żona) Jadwiga Roszkowska znalazła przed wojną kuśnierza z ul. Miodowej, niejakiego Markusa. Gdy znalazł się w Getcie, prosił, listownie o pomoc żywnościową.

Sędzia Grzegorz Żukowski, do którego w tej sprawie zwróciłem się, zgodził się chętnie na wzywanie w umówione dni do Sądu na Lesznie Markusa. W dniach tych, o ile sobie przypominam, sześć- lub ośmiokrotnie wręczałem Markusowi w gabinecie tego sędziego masło, cukier, ryż i kaszę. Późniejszy los Markusa nie jest mi znany.

Krawcowa przedwojenna Spirówna, mieszkająca na Ordynackiej w Warszawie, napisała z Getta do J. Roszkowskiej z prośbą o przysłanie jej pewnej kwoty, gdyż ma możliwości wyrobienia sobie papierów, które ułatwią jej wydobycie się z Getta. Żądaną kwotę wręczyliśmy oddawcy listu. Spirówna rzeczywiście wydobłała się z Getta i przysłała do nas podziękować, a zarazem prosić o jakąś suknię i płaszcz, które otrzymała. Kilka razy jeszcze przychodziła, ale później kontakt się urwał.

Znany mi przed wojną Bergman (w czasie okupacji Kołowski), wicedyrektor Przedstawicielstwa Francuskich Linii Okrętowych w Polsce, który ukrywał się w Warszawie, prosił mnie o znalezienie mu pewnego mieszkania. Znalazłem mu mieszkanie u p. Marii Kralowej, w którym przebywał wraz z rodziną przez dłuższy czas aż do chwili wywiezienia go z Warszawy, gdy dał się nabrać na przyznanie mu, o ile sobie przypominam, obywatelstwa argentyńskiego i umożliwienie wyjazdu do Szwajcarii. (...)

Namówiłem znajomego mego Stanisława Okąckiego, właściciela Ryłska w pow. Rawa Mazowiecka, na zatrudnienie w jego majątku 30 Żydów. Żydzi ci pracowali w tym majątku przez kilka miesięcy do chwili, gdy ostrzeżono ich, że mają przyjechać po nich Niemcy. Wówczas uciekli do okolicznych lasów. Wyścannicy tych Żydów przychodzili w nocy do dworu w Ryłsku, gdzie otrzymywali żywność.

Wielu z nich uratowało się. Opowiadał mi o tym Okącki, który już po wojnie

spotkał w Łodzi jedną z pracujących u niego Żydówek. Ze łzami w oczach dziękowała mu i zaprowadziła do kilku innych uratowanych w ten sposób Żydów.

Adw. Janina Wojtecka z Warszawy:

(...) Osobiście przechowywałam w mieszkaniu moim przy ul. Natolińskiej kobietę pochodzenia żydowskiego ob. Marię O., rodzoną siostrę adw. Romana K., zmarłego niedawno w Anglii.

W mieszkaniu złożonym z 2 pokoi z kuchnią mieszkałam z matką i synem, dorastającym chłopcem, ryzykując życiem nas wszystkich.

Przechowywanej oddałam nie tylko największy pokój z oknem od podwórza (mniejszy miał okno od ulicy — mogłaby więc być łatwo zauważona), ale przynosiłam jej obiady z Izby Przemysłowo-Handlowej, gdzie byłam radcą prawnym oraz wychodziłam z nią wieczorami na spacer. Oprócz mnie pomagał jej dużo mój syn. Zapracowywaliśmy się wówczas nadmiernie oboje, gdyż nie można było nikogo wziąć do pomocy właśnie z uwagi na osobę przechowywaną. Była u mnie zameldowana pod fałszywym nazwiskiem. (...)

Kierowałam się względami humanitarnymi (nikt jej nie chciał wziąć do swego domu, wszyscy się bali) oraz koleżeńskimi (siostra adwokata)."

Adw. Ludwik Wołodkiewicz z Warszawy:

(...) Wiosną 1941 roku przyszedł do mnie niezwykle miły i b. lubiany przeze mnie adwokat Rafał Kempner, poprzednio sędzia okręgowy w Łodzi. (...)

Kempner z właściwym mu poczuciem humoru (w tym wypadku był to trochę galgenhumor), witając się ze mną, oświadczył „Jestem Krzemiński”, przy czym nastąpił szeroki porozumiewawczy uśmiech. (...)

Kempner pozostawił u mnie wszystkie dokumenty i akty, stwierdzające jego prawa własności terenów pod Łodzią. Ze zwykłym, lekko ironicznym uśmiechem prosił o ich przechowanie mówiąc, że papierom będzie u mnie zdrowiej.

Wkrótce Kempner zmarł śmiercią naturalną. (...)

Drugi wypadek bezpośredniej pomocy okazałem mieszkającemu obok mnie przez sień, niejakiemu Nisensonowi. (...)

Przed odejściem do getta Nisenson prosił mnie o przechowanie jakichś rzeczy. (...)

Kilkanaście razy przychodziła do mnie była lokatorka tegoż domu, krewna Nisensona, i zlikwidowała ten depozyt, wyrażając wdzięczność."

Adw. Jerzy Mayzel z Warszawy:

(...) Żona moja Alina i córka Aleksandra przetrwały okupację w Warszawie dzięki pomocy kolegi, ob. Stanisława Piechocińskiego i jego rodziny (Podskarbińska 5), rodziny Kałużów zam. w Aninie oraz szeregu innych osób. których nazwisk nie znam.

Jak ustaliłem w bezpośredniej rozmowie ze Stanisławem Piechocińskim, on osobiście wraz z żoną Anną i matką Marią ukrywali u siebie żonę adw. Mayzla Alinę oraz córkę Aleksandrę i brata Józefa Kornberga, który został zastrzelony na ulicy przez gestapowców, nie chcąc się poddać oględzinom i odmawiając wylegitymowania się. Pomoc ta była wszechstronna i całkowita: od pełnego utrzyma-

nia i ubrania, aż do wyrobienia dokumentów. Pod koniec wojny córka Aleksandra została umieszczona przez państwa Piechocińskich w sierocińcu w Skierniewicach. Było to konieczne ze względu na bezpieczeństwo. Tam co tydzień była odwiedzana przez małż. Piechocińskich. Obie (matka i córka) przeżyły wojnę. Niestety, już po wyzwoleniu, organizm Aliny Mayzel nie wytrzymał trudów okupacji. Zmarła w szpitalu w Skierniewicach w marcu 1945 r.

Adw. Romuald Zarzycki z Warszawy:

*„(...) Jako radca prawny Banku Związku Spółek Zarobkowych Oddziału Warszawskiego (...), wraz z patronem moim adwokatem Edwardem Berensem (z Kazimierza) załatwiłem sprawy związane z kredytem bankowym oraz z kontrolą prawidłowego zabezpieczenia kredytów przez banki spółdzielcze kredytowane przez Bank Zw. Spółek.*

*W okresie okupacji niemieckiej od Trenhendera Banku otrzymałem przepustkę na prawo wejścia na teren Getta żydowskiego do żydowskich banków spółdzielczych.*

*W czasie wielokrotnego pobytu na terenie Getta spotykałem klientów banku, różnych przedsiębiorstw budowlanych Izraelitów, którzy potrzebowali mojej pomocy. Na szczególną uwagę zasługuje tu rodzina Fajnsztajnow i Rosenbergów (klienci Banku Związku), zamieszkała w Getcie przy ul. Siennej. (...) W marcu 1944 r. wyprowadziłem z Getta 3 osobową rodzinę: mąż, żona i dziecko Fajnsztajnow i zaprowadziłem ich na Pragę na ul. Stalową do ich domu 3-piętrowego będącego w budowie pokrytego dachem i pod tym dachem urządzili sobie prowizoryczne schronienie. W budynku nie było schodów. Na trzecie piętro wszystkie osoby były wciągane na kółku blokowym ze sznurem. Nadzór i wyżywienie tych osób wykonywał zaufany dozorca.*

*Druga rodzina, Rosenbergów, nie zgodziła się na wyjście z Getta, ponieważ inż. Michał Rosensztajn był w straży żydowskiej i liczył na to, że w razie wywiezienia wszystkich Żydów z Getta on, jako strażnik, pozostanie. Oczywiście został stracony z żoną i matką.*

*W miesiącu kwietniu 1944 r. wyprowadziłem z Getta (...) czwartą osobę, Annę Fajnsztajn, i umieściłem ją w domu moich znajomych przy ul. Krochmalnej, a następnie przetransportowałem też na ul. Stalową. (...)*

*W ten sposób cała rodzina została uratowana.*

*Obywateli Fajnsztajnow więcej nie widziałem, rzekomo wyjechali do Paryża.”*

Adwokat Henryk Nowogródzki z Warszawy i adwokat Halina Więckowska z Warszawy szczególnie ciepło, choć ogólnie, wspominają działalność okupacyjną adw. Heleny Wiewiórskiej:

*(...) W okresie okupacji hitlerowskiej dom Pani Heleny i jej męża dziennikarza Jerzego Wiewiórskiego, przed wojną współredaktora „Kurier Porannego”, a po wojnie współpracownika „Życia Warszawy”, stał się przystanią i azylem najbardziej potrzebujących, bo prześladowanych.*

*Podczas Powstania Warszawskiego za stołem w mieszkaniu Wiewiórskich siadało codziennie kilkadziesiąt osób aż do chwili, kiedy bomby z hitlerowskich samolotów nie zburzyły starej warszawskiej kamienicy.<sup>10</sup> (...)*

<sup>10</sup> Henryk Nowogródzki: Pani Helena, „Gazeta Sądowa i Penitencjarna” nr 12 (89) z dnia 15.VI.1967 r.

W groźnych dniach i nocach hitlerowskiej okupacji znajdowali tam schron prześladowani i tropieni. W dniach Powstania Warszawskiego do stołu w mieszkaniu Wiewiórskich na ul. Hożej zasiadało kilkadziesiąt osób do chwili, gdy bomby zrzucone z ludobójczych samolotów nie uczyniły z tego domu kupy gruzów.

Mecenas Wiewiórska nieustannie nosła pomoc potrzebującym, redaktor Jerzy Wiewiórski nieustannie pracował dla konspiracyjnej prasy.<sup>11</sup> (...)

Okupacja to osobny rozdział w życiu Heleny Wiewiórskiej.

Nie licząc się zupełnie z własnym bezpieczeństwem, przygarniała wraz z mężem wszystkich zagrożonych do swego domu, dzieląc się skromnymi zasobami z każdym — często zupełnie jej nie znanym — kto tylko wiedząc o nazwisku Wiewiórskich, zapukał do ich drzwi.

Nie było dosłownie dnia ani nocy bez kogoś goszczącego w tym domu.

A czym to było dla szukającego dachu nad głową i czym groziło dającemu schronienie, wie tylko ten, kto przeżył okupację.

W lipcu 1940 r. gestapo zabrało z domu ciężko chorą na dyfteryt Helenę Wiewiórską, przewożąc Ją na Pawiak. Dyfteryt uratował wówczas Jej życie: Niemcy, obawiając się panicznie zarażenia, niezadługo zwolnili Ją.<sup>12</sup>

Adwokat Stanisław Ułas z Warszawy:

(...) W czasie okupacji pomagałem materialnie i otaczałem serdeczną życzliwością mojemu kol. uniwersyteckiemu, zmarłemu adw. Marianowi Wagnerowi.

Życzliwością otaczałem dzieci zmarłego w getcie, adw. Kazimierza Brokmana, które dzisiaj żyją i pracują na stanowiskach w Polsce.

Przy okazji zawiadamiam, że moja znajoma, Pani Dąbrowska zam. w Warszawie Choszczówka, roztoczyła opiekę nad 6-letnią Zofią Grzewińską, córką Abrahama i Sary Grzewińskich, którzy polegli w getcie.

Gdy córka ich Zofia Grzewińska miała lat 12, została porwana w/g oświadczenia Dąbrowskiej przez Kom. Żydowski w Polsce po wyzwoleniu i obecnie mieszka w Izraelu. (...)

Strony na początku korespondowały ze sobą. Ostatnio listy Dąbrowskiej są zwracane przez pocztę izraelską — z jakiej przyczyny, nie wiadomo. (...)

Teresie Dąbrowskiej, obecnie rencistce, groziła kara śmierci za przechowywanie Zofii, którą uważała za swoją córkę i przyczyniła się do ukończenia przez nią 7 klas szkoły powszechnej, i to wszystko bezinteresownie.

Adwokat Zdzisław Bagiński z Warszawy:

(...) W okresie okupacji niemieckiej udzielałem pomocy materialnej wielu Żydom. (...)

Z mojej pomocy korzystali koledzy Żydzi, pracownicy b. Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. (...)

Ci korzystali u mnie i z mieszkania przy ul. Belgijskiej (...) oraz z pomocy materialnej. (...)

<sup>11</sup> Henryk Nowogrodzki: Kobiety w sądzie, „Prawo i Życie” nr 15 (267) z dnia 17.VII.1966 r.

<sup>12</sup> Helena Więckowska: Adw. Helena Wiewiórska — wspomnienie pośmiertne, „Palestra” z 1967 r. nr 6, str. 65.

Byłem z nimi związany węzłami koleżeństwa. Liczba ich była 4 osoby.

Raz w okresie maj względnie kwiecień 1943 roku udzieliłem pomocy jednemu chłopczykowi żydowskiemu, którego ojciec odebrał ode mnie po upływie 4 dni. (...)

Jeśli cokolwiek czyniłem dobrego, to czyniłem z dobrego serca i za to nie otrzymałem zapłaty.

Adwokat Bagiński przysłał dwa oryginalne listy pisane przez Mojżesza Jakóba Olnera dnia 27.VI.1943 r. w przeddzień wyjazdu na roboty przymusowe do Prus. Była to jedna z form ukrywania się, pozwalająca przeżyć okupację i uniknąć przesładowań rasowych. Do listów załączył fotografię Olnera, własnoręcznie podpisaną przez tegoż Olnera. Czy przeżył wojnę — nie wiadomo. Adw. Bagiński nie zdołał odszukać rodziny Olnera — może tą drogą ktoś się zgłosi? Zachowane listy są tak znamienne i wymowne, że podaję je z niewielkimi skrótami, zachowując język oryginału. Jest to wstrząsający dokument o znaczeniu historycznym, dokument czasów hańby i pogardy, ale też bohaterstwa i poświęcenia.

Warszawa dnia 27/6.1943.

Do mojego Kochanego Szwagra  
Dr Dawid Bornsztajn 445 Madison Avnue  
Paterson. N.J.

Piszę do Ciebie jedyny, i ten list ma być dla całej rodziny, gdyż Twój adres został mi w pamięci. Ow człowiek, który będzie posiadał ten list, tj. P. Bagiński Zdzisław. Człowiek ten, mimo że jest dla mnie obcy, postanowił dnia 2 lutego 1943 r. za wszelką cenę uratować moje życie jak również życia mojego jedynego dziecka Samsona Olnera (imię po Twojego dziadka) narażając swoje własne życie lub też życie swojej całej rodziny. Twojej siostry dziecku (Hela) nic nie mógł pomóc, gdyż w październiku 1942 została zamordowana razem z Milionami innych naszego wyznania. Miliony ludzi zostało zagazowane jedynie dlatego, że byli Żydami. W taki sam sposób została zamordowana Twoja siostra z mężem Izakiem i ze synem Sewkiem. Oni z Łodzi uciekli do Tomaszowa, i to Ich spotkało też tam, mnie to spotkało w Piotrkowie. Jakób Krakowski z żoną i jedynym synem Heńkiem zostali w Łodzi, jak również Moryc z żoną, Lutek jak również dzieci Moryca uciekli do Rosji. Pola umarła naturalną śmiercią w Łodzi i tam też została pochowana. Eliaszek został przy rodzinie Ślepskich. Salomon z żoną i jedynym synem Szymonkiem zostali w Łodzi. Dr Abram Bornsztajn został zabity w Warszawie 1939 i został pochowany w Warszawie, co się stało z całą rodziną w Łodzi, to tylko jeden Pan Bóg wie, na pewno zostali wszyscy wymordowani albo też umarli w Obozach. I tak się stało z 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliony ludzi, co Polska liczyła. Za co? Jedna jedyna odpowiedź, że byli Żydami. Moja prośba jest do Was wszystkich. Mścić się, używam tego zwrotu, ca biblia pisze, nie zostawić ani jednego (słowa pisane alfabetem hebrajskim — nieczytelnie — przypisek mój. E.M.). Czy ja będę żył z moim dzieckiem — tj. wielki znak zapytania, na razie jestem w Warszawie jako chrześcjanin, mając dowody chrześcijańskie. Syn mój jest w Obozie. Ja czując że grunt u mnie się pali pod nogami, muszę wyjechać do Prus na roboty, w ten sam sposób chcę załatwić z moim synem. To wszystko załatwi dla mnie P. Bagiński, tj. posiadacz tego listu. (...) piszę ten list przed moim wyjazdem do Prus, teraz jeszcze pozostaje do ratowania moje dziecko, jaki to jest trud, to

chyba nie potrzebuj pisać. (...) pozostaje Twój jedyny Szwagier, na razie przy życiu J. Olnier.

O ile po wojnie przyjedziesz do Polski i spotkasz się z tym Panem, On Ci wszystko opowie, całą naszą tragedią. Człowiek ten zasługuje na 100% zaufania.

Warszawa dnia 27/6.1943 r.

Do mojej Kochanej rodziny w Patersonie N.J. U.S.A.

Piszę ten list, nie mając waszego adresu, posiadacz tego listu, tj. Pan Zdzisław Bagiński, postanowił za wszelką cenę, narażając się na własne życie, jak również życie Jego całej rodziny, uratować moje życie, jak również życie mojego jedyne-  
go syna, który teraz jeszcze jest w obozie.

W wypadku mojej śmierci, jak również śmierci mojego syna postara się Pan Bagiński (oczywiście po wojnie) odnaleźć moją rodzinę i wręczyć ten list.

Ja, Mojżesz Jakób Olnier syn Chaima i Fajgi, urodz. w Łodzi 16/4.1903, pozwolę sobie opisać jedną setną część naszej tragedii, o ile się wyrażam setną część, to i to nawet nie jestem w stanie opisać naszą tragedię. Tragedią naszą się rozpoczęło już 9 września 1939 r., kiedy właśnie Niemcy wkroczyły do Łodzi po 6 tygodniach, kiedy Łódź została przyłączona do Rzeszy, to już się rozpoczęła prawdziwa Gehenna. Pozwolę sobie zaznaczyć jeden szczegół, kiedy zmusili rękoma brać czerwony węgiel i ładować go na samochodach i przy tym nahajkami z tyłu bili po głowie, gdybym był najlepszym pisarzem na świecie i siedziałbym 5 lat, to też nie jestem w stanie opisać naszą tragedię. Ojciec mój, tj. Wasz brat, umarł w Łodzi naturalną śmiercią wojenną i tam został pochowany, tak samo umarł Wujek mój, Wasz brat Łejzer, z głodu i tak samo został pochowany w Łodzi. Cała rodzina z Warszawy została wywieziona w Sierpniu i Wrześniu 1942 r. do miejscowości zwanej Treblinki, tam katy Niemieckie urządzili komory gazowe i tam też zagazowali i spalili od 5 tysięcy do 10 tysięcy dziennie, nie zostawiając w ten sposób żadnego śladu; jak to wszystko wyglądało będzie mógł Wam opowiedzieć ten człowiek, który posiada tego listu, i w ten sposób wymordowali 3 i pół miliona żydów, co Polska liczyła. Zdrowych mężczyzn zabrali do Obozów i tak długo mordowali, aż Ci z głodu umarli. Tak się skończyło z żydowstwem w Polsce, nie liczyć żydowstwo całej Europy, co tu przywieźli wszystkich do komórów gazowych. Boże! czy dla nich jest kara? Nie! nie ma dla nich kary. Wszystkich wymordowali jedynie dlatego, że byli żydami. Zwracam się do Was z gorącą prośbą, w imieniu wszystkich umarłych (słowa pisane alfabetem hebrajskim — nieczytelne — przypisek mój: E.M.). Mścić się, i jeszcze raz mścić się, wytępić całego narodu Niemieckiego (słowa pisane alfabetem hebrajskim — nieczytelne — przypisek mój: E.M.).

Wytępić całą Rasę i nie zostawić ani Jedyne-  
go, takie jest moje życzenie jak również wszystkich tych, co wsadzili do Ghetta Warszawskiego i podpalili wszystkie domy i spalili wszystkich żywcem tylko dlatego, że się urodzili żydami. Dalej opisać naszą tragedię nie mogę, bo już walczę resztą moich sił. Jestem na dowód Chrześcijański i czuję że grunt tu mnie się pali pod nogami i wyjeżdżam teraz na roboty do Prus, wszystko dla mnie załatwia Pan Bagiński, jak już wyżej zaznaczyłem, narażając własne życie jak również życie całej Jego Rodziny, od lutego 1943 r. do chwili obecnej ten człowiek ze mną się męczy. (...) teraz jeszcze ma wydostać mojego jedyne-  
go syna z obozu, i z nim się zaopiekować względnie posyłać go do mnie do Prus na roboty (...)



*On Pan zasługuje na 100% zaufania, gdyż to jest człowiek Honoru. Co ze mną i moim dzieckiem będzie dalej, to tylko jeden Pan Bóg wie. Czy my przeżyjemy, to jest wielki znak zapytania. (...)*

*Pozostały jeden jedyny z całej rodziny J. Olnier.*

*P.S. Może w życiu jeszcze się zobaczymy, co ja bardzo a bardzo pragnę, całąję Was wszystkich biedny i wyczerpany, co walczy ostatnimi siłami*

Wasz J. Olnier.

\*

\*

\*

Przedstawione relacje stanowią materiał faktograficzny, czekający na opracowanie pięknej karty adwokatury warszawskiej w okresie okupacji. Jest to zaledwie mały przyczynek tej działalności, ale jakże piękny i ludzki, o jakże olbrzymim ładunku dramatycznym. Po 25 latach inaczej się czyta i odczuwa te dokumenty, ale istnieje konieczność powrotu do tych lat nie tylko z ciekawości właściwej historykowi, ale przede wszystkim ku przestrodze i dla wyciągnięcia odpowiedzialnych wniosków aralitycznych na przyszłość.

EDWARD MUSZALSKI

## Ze wspomnień bibliotekarza Rady Adwokackiej w Warszawie (1921–1925)

Szukając zajęcia, trafiam przed oblicze kierownika biura Rady Adwokackiej, miłego, starszego pana, b. sędziego pokoju, Dionizego Sztumpfa, a ten mi rzecze:

— A może by pana zainteresowała praca w bibliotece, bo adwokat Wacław Szumański<sup>1,2</sup> chce zreorganizować bibliotekę Rady<sup>3</sup> i poszukuje kogoś do pomocy?

Pędzę więc po południu w godzinach przyjęć adwokackich do jego gabinetu na trzecim piętrze nad kawiarnią Udziałową w domu na rogu al. Jerozolimskich i Nowego Świata.

<sup>1</sup> Z. Czaykowska: Bibliografia adwokatury polskiej, 1945–1960, Warszawa 1961.

<sup>2</sup> Z. Czaykowska: Bibliografia historii adwokatury polskiej 1901–1918, Warszawa 1968.

<sup>3</sup> O dziejach samej Biblioteki za cały okres jej istnienia 1886–1944 zob. E. Muszalski: Biblioteka Rady Adwokackiej w Warszawie. Przegląd Biblioteczny, organ naukowy Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich R. XXII, z. 4, październik–grudzień 1954, s. 330–342.

Za lata 1921–1925 zob. sprawozdania Rady Adwokackiej w Warszawie w „Gazecie Sądowej Warszawskiej” z r. 1922 na s. 235, z r. 1923 na s. 197, 227–8, 238–9, z r. 1924 na s. 197 i z r. 1925 na s. 416, 432–4.